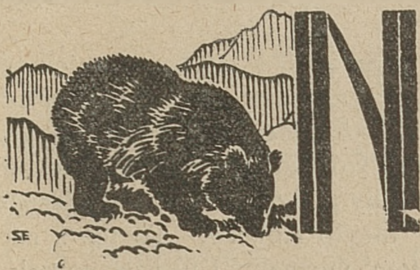
DUSZE MYŚLIWSKIE.



Nasz łowiecki żywot śród puszcz, które mówią do nas jak śpiewające miasta i śród miast, które są dla nas nieraz bezgłośne, jak pustynie, daje nam jako najwyższą roskosz obcowanie z duszami myśliwych.

Dusze te pachną lasem, jaśnieją słońcem, tętnią gorącą krwią, śpiewają czarem wspomnień minionych.

Każda z tych dusz do klejnotu podobna innym nas blaskiem olśniewa, innym ogniem zachwyca...

Są dusze — szmaragdy pełne zieleni i ciszy leśnej, zakochane w samotnych wędrówkach po najdzikszych ostępach.

Są dusze — rubiny, które war krwi ponosi ku coraz to zawrotniejszym przygodom. Płomień świętego zapału ogarnia je, jak ogień... Namiętność ich nie zna granic...

Są dusze — szafiry z niebios natchnienie czerpiące, myśliwskie dusze, miłujące nadewszystko błękitną zadumę nocy gwiezdnej i błękitną radość słonecznych rzek wiosennych...

Są dusze — djamenty, które jednoczą w sobie wszystkie ognie ziemi i nieba, wszystkie blaski rosy porannej, skrzącej na kwiatach polnych, i wszystkie blaski gwiazd, tej nieśmiertelnej rosy nocnego błękitu.

Każda z tych dusz pełna umiłowania łowiectwa, ukochania kniei i przyrody, śpiewa nam hejnał myśliwski, pogańską radością promienny, beztroski i boski, jak szum boru, jak szmer leśnego strumienia.

Weyssehoff — jak zielony dąb odwieczny, a nieśmiertelny, z ziemi naszej soki czerpiący, a czołem nieba sięgający...

Weyssenhoff — jak królewski dąb — koroną dostojną szumiący pieśń o tajemnicach puszczy...

Zaborowski — niezrównany poeta kniei z którego nieśmiertelnych dzieł nauczyłem się miłować łowiectwo. Wieszcz, który rzucił ongi myśliwski czar na moją duszę jeszcze dziecięcą...

Grąbczewski środ najwyższych gór świata szukający wzruszeń myśliwskich. Łowiecki zapał ku niebu ulatujący w najszlachetniejszym porywie orlich skrzydeł...

Połczyński rozkochany w czarodziejskim pięknie myślistwa czuły na każdy odzew boru, jak echo leśne... Rzewuski — uśmiechnięty poeta staropolskiej radości życia, Świętorzecki — natchniony trubadur leśnego trubadura... Czerniejewski — jak sokół na skrzydłach wspomnień bujający nad przestworzem dzikich pól... Ks. Niedbał wielki spowiednik boru, znawca najskrytszych tajemnic puszczy... Szczepkowski jak ojciec miłujący tkliwie mieszkańców lasu i pola... I tylu, tylu innych...

Iluż zaś jest poetów—śród myśliwych, którzy zachwytu swego nie wyrażają pisanem słowem? Iluż znam poetów myśliwych, których samo bicie serca na widok puszczy jest już pieśnią czarowną...

Błeszyński, Malczewski, bracia Bakierowscy i tylu, tylu innych: dusze myśliwskie w najpiękniejszem znaczeniu tego słowa...

Miłość do łowiectwa odziedziczyłem po Rodzicach — myśliwych... Miłości do dusz łowieckich uczy nas życie... W szarości dni powszednich i w blasku myśliwskich przygód, w mieście złem i w puszczy dobrej i kochającej — wszędzie spotykamy, do kwiatów podobne, jak knieja radosne, myśliwskie dusze...

Dobre i złe przygody rozjaśniają nam ich promienie... W ich blasku nawet mroczny las pełen jest światła, nawet mroźna zima ma w sobie ciepło roskoszne gorąco kochającego serca...

Juljan Ejsmond.



O przyszłość naszego łowiectwa.

Dawno zrozumiano na Zachodzie i w praktycznej Ameryce, jak znaczne naturalne bogactwo kraju stanowi zwierzyna. Przemawia za tem poważne zainteresowanie się tą sprawą rządów wielu państw na Zachodzie oraz Stanów Zjednoczonych.

Czas najwyższy by i w Polsce pomyślano o tem poważnie, a nasze sfery rządzące zechciały coś dla łowiectwa uczynić.

Nawet przy dzisiejszym stanie naszych zwierzostanów jest nie do pogardzenia ilość samego mięsa, którą dostarcza zwierzyna, a jeśli dodamy do tego wartość skór i futer, przemysł związany z łowiectwem, ilość osób pracujących i utrzymujących się z tej dziedziny gospodarstwa wiejskiego w postaci personelu zatrudnionego hodowlą i ochroną zwierzyny, tenuty dzierżawne za prawo wykonywania polowania, podatek od kart łowieckich, broni i polowania, zarobek miejscowej ludności za przyjęcie udziału w nagankach, dostarczanie furmanek do przejazdów, to niebawem największy pesymista będzie zmuszony przyznać, iż nie są to znikome cyfry nie warte bliższego zastanawiania się nad niemi. A przecie jest to tylko nieznaczna część tego, co przy naszych gospodarczych warunkach, klimacie, geograficznem położeniu i rozległości państwa moglibyśmy w Polsce osiągnąć.

Rzeczowo i treściwie ujmuje tę stronę naszego łowiectwa praca p. p. F. Rożyńskiego i D-ra E. Schechtela pod tytułem: „Ekonomiczne znaczenie łowiectwa dla naszego kraju". W wymownych cyfrach tej pięknej pracy niema nietylko przesady, lecz, powiedziałbym, zostały one zestawione nadzwyczaj ostrożnie.

Bezpośrednio z łowiectwem jest związana „hodowla futer". Praktyczny rząd Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej wydał w tej sprawie kilkaset dzieł i broszur, a prócz tego jest tam poświęconych tej gałęzi gospodarstwa kilkadziesiąt perjodycznych pism. Obecnie hoduje tam „futra" koło tysiąca farmerów, stale co roku ilość ich wzrasta, a wyprodukowane przez nich futra przewyższają swą wartością zdobywane w dzikich ostępach Kanady i są drożej płacone na rynku. Przed wojną nawet ociemniały rząd rosyjski już był rozpoczął w tym kierunku pewną działalność. Udzielał on poważnych pożyczek (do 15.000 rubli w złocie) na zakładanie farm hodowli czarnych lisów, które to pożyczki w razie pomyślnego rozwoju hodowli miały być umorzone. A więc w celu pobudzenia tej nowej dziedziny gospodarstwa wiejskiego zamierzał rząd rosyjski ponieść nawet znaczne ofiary.

Umiarkowany klimat Polski bynajmniej tej hodowli nie staje na przeszkodzie. Wierne doświadczenia wykazały, że uwłosienie u zwierząt jest w nadzwyczaj silnym stopniu dziedziczne i że potrzeba wielu pokoleń, by pod wpływem cieplejszego klimatu uwłosienie uległo zmianie. To też z najlepszem powodzeniem możnaby i u nas powołać do życia tą nową, a tak rentowną gałęź gospodarstwa wiejskiego. Na to potrzeba tylko pewnych fachowych wiadomości, przedsiębiorczości i, oczywiście, poparcia ze strony odnośnych rządzących sfer.

Tak jak jest postawioną sprawa naszego łowiectwa w Ministerstwie Rolnictwa i D. P. niczego spodziewać się nie możemy. Jeden referent łowiectwa przy Departamencie leśnym, aczkolwiek najwięcej wskazany, przejęty i całą duszą oddany tej sprawie, lecz zależny od szeregu przełożonych z natury rzeczy nieobeznanych ani fachowo, ani praktycznie z łowiectwem, podołać zadaniu nie może.

My myśliwi mamy w danym wypadku nie tylko prawo, lecz i obowiązek wobec ojczyzny domagać się, by nareszcie zwrócono uwagę na tę gałęź narodowego bogactwa i postawiono ją jak na to zasługuje.

Przypuszczam że wystarczyłoby na razie, by przy Ministerstwie rolnictwa i D. P. utworzono „Zarząd państwowego łowiectwa", tak jak jest utworzony zarząd Stadnin Państwowych i tak jak ten ostatni uzależniono go bezpośrednio od pana Ministra. Personel tego Zarządu mógłby się składać z nieznacznej ilości osób — państwowego dyrektora łowiectwa, dwóch referentów i chociażby jednego kancelisty.

Nie wyobrażam sobie by względy oszczędnościowe mogły stanąć tu na przeszkodzie. Czyż byśmy już aż tak biedni byli, by na ujęcie poważnej gałęzi bogactwa narodowego nie można było wyasygnować kilkunastu tysięcy złotych, które z lichwą może już nawet w drugiej połowie roku wróciłyby do kasy z powrotem.

Ten minimalny skład ewentualnego zarządu dałby możność jego kierownikowi zaznajomienia się na miejscu z faktycznym stanem i wymaganiami naszego łowiectwa, umożliwiłby prowadzenie państwowej statystyki łowieckiej, której dotychczas zupełnie nie posiadamy, znalazłby środki na wydanie chociażby w tłómaczeniu z angielskiego paru

broszur o hodowli i wykorzystywaniu zwierząt futerkowych i w końcu dałby możność faktycznego czuwania nad biegiem spraw łowieckich, hodowlą zwierzyny i ogólnem przestrzeganiu obowiązujących praw i przepisów w tej dziedzinie gospodarstwa wiejskiego.

Bolesław Świętorzecki.

Wyprawa myśliwska do Abissynji.

I. Z ODESSY — DO ALEKSANDRJI.

22.XI.1910. Dziś przyjechałem do Odessy i zatrzymałem się w hotelu położonym blisko morza. Miasto, widziane po raz pierwszy, nie zachwyciło mnie wcale. Jedynie ładnym jest roztaczający się z niektórych ulic widok na morze lub porty. Statki i fale dają mi zarówno przedsmak ruchu oraz wędrówki w nieznaną dal. Chciałbym wyruszyć jaknajprędzej.

23.XI. Kupiłem dziś rano bilet na idący do Aleksandrji statek „Księżniczka Eugenja Oldenburska". Zaledwie mam czas przewieźć rzeczy z hotelu na pokład, gdyż wyruszamy w południe. Pogodę mamy śliczną: lekki mrozik, słońce i wiatr słony, niby oddech morza. Stoję na pokładzie przyglądając się odjazdowi. Zabawne! Mam wrażenie, że statek stoi na miejscu, a cofa się ląd. Płyną wstecz zahaczone o kotwice barki, jachty i duże parowce; oddala się linja miejskich gmachów, a coraz mniejszy i mniej gwarny staje się powiewający chustkami na przystani tłum. Fala, coraz wyższa, omywa boki statku, a że „Księżniczka" jest raczej małego wzrostu, więc i bujać zaczyna wcale przyzwoicie. Jednakże, ponieważ towarzystwo jest wyjątkowo obeznane z morzem, pasażerowie trzymają się dzielnie. Przy obiedzie brak paru zaledwie osób.

24.XI. Buja i to coraz mocniej. Przy śniadaniu już tylko połowa pasażerów się zebrała, a ci starają się zajmować miejsca jaknajbliżej drzwi. Ostrożność bynajmniej nie zbyteczna, skoro co chwila ktoś wstaje, i niepewnie balansując dąży w stronę swej kajuty. W pewnej chwili i ja także, czując, że wkrótce przestanę być odpowiedzialny za swe czyny, opuszczam salę jadalną i udaję się do siebie. Doktór okrętowy proponuje mi miętowe krople, ale że zasadniczo nie lubię lekarstw, więc odmawiam. Kładę się tylko na wznak na swem wązkiem, do kołyski podobnem, łóżku i staram się zasnąć. Nie można powiedzieć, żeby warunki były po temu sprzyjające, jednakże drzemię wcale nieźle aż do wieczora.

O zmroku wiatr ustaje, ale morze wciąż jeszcze nie może się uspokoić. W dalszym ciągu leżąc, obserwuję przez małe okrągłe okienko grę rozbujanych fal. W świetle pokładowych lamp pieniste



BRONISŁAW GORDZIAŁKOWSKI.
Podróżnik i myśliwy, którego łowieckie wspomnienia z Afryki rozpoczynamy drukować w tym numerze.

koronki złocą się i srebrzą, a głąb wody lśni czernią, jak węgiel kamienny.

Jest już niemal zupełna noc, gdy statek zarzuca kotwicę u wrót Bosforu.

25.XI. O świcie statek rusza dalej, a o 7-ej rano znów staje, choć Konstantynopola jeszcze nie

widać. W Rosji panuje obecnie cholera, więc każdy statek przybywający z tamtych stron podlega rewizji sanitarnej. Przyjemność ta nie omija także i nas. Zresztą uprzywilejowana część podróżnych, pasażerowie I i II klasy, mają z tem mało kłopotu. Ustawieni rzędem na pokładzie pokazujemy poprostu języki idącemu wzdłuż szeregu doktorowi. Widok musi być zabawny! Ale że żaden język nie wzbudza podejrzenia, więc uroczystość ta prędko się kończy. Gorzej jest z klasą III-cią. Wszystkich jej pasażerów wraz z rzeczami wiozą na ląd do dezynfekcji i kąpieli. Mija parę godzin zanim odwożą ich z powrotem, i dopiero wówczas, to jest około południa, ruszamy w dalszą podróż.

Statek pracowicie tnie wodę odrzucając na boki dwie długie, błękitne skiby. Na pokładzie pełno; radosny gwar i ruch. Koło mnie stoi jakiś turek, ubrany po europejsku, ale w fezie i z długą wschodnią fajką w zębach. Przedstawił mi się sam przed chwilą jako Ibrahim ben Jussuf, i teraz, od czasu do czasu, wraz z kłębami wonnego dymu, rzuca słowa objaśnień.

„O, niech pan patrzy! Meczet sułtanki Valideh. Przedmieście Konstantynopola!“.

Patrzę oczywiście, i to tak, że aż mnie oczy bolą z wytężenia. Statek zbliża się nieco do prawego brzegu, i to, co przed chwilą jeszcze majaczyło niby bezbarwna smuga, poczyna nabierać barw i kształtów. Jak najcudniejsza w świecie panorama roztacza się wpatrzona w błękiną toń łamana linja białych gmachów; cyprysy, niby czarne obeliski, stanowią jedyną ciemną nutę, głąb miasta bowiem, to chaos domków o barwach wesołych i jasnych, tak prześwietlonych słońcem, że płoną niby skrawki tęczy. Minarety niezliczonych świątyń, jak olbrzymie świece sterczą ku niebu, a na ich szczytach słońce ognie zapala. Blask olśniewa oczy. Chciałoby się nabrać pełne dłonie tej jasności i zachować ją na dzień szary i smutny.

Ibrahim ben Jussuf uśmiecha się patrząc na mnie. Widzi mój zachwyt i pochlebia mu to. Wskazując ręką w kierunku wybrzeża poprawną francuzczyzną cytuje imiona i nazwy. „A może pan lubi podania?“ pyta mnie naraz.

„Lubię!... czy o którym z tych pałaców...“

Przecząco rusza głową:

„Nie, to tam na lewo“...

Przechodzimy razem na lewą stronę pokładu, a że i statek zmienia nieco kurs, podobno omijając zbyt silny prąd, więc to, na co ukazuje wyciągnięty palec turka znacznie się przybliża. Jest to mała skalista wysepka leżąca na wprost Skutari; na wysepce wznosi się z ciemnego kamienia zbudowana wieża, której mury opadają wprost w głębię wodną. Wygląda ponuro i tajemniczo.

„To Khiz Kulek“, (Wieża Dziewicy) objaśnia mnie mój „cicerone“. Zbudował ją Ateński wódz Chares, i tu, niby w grobowcu złożył ciało swej ukochanej żony. Na imię jej było Damalis i podobno słynęła z dobroci i piękności; umarła młodo. Ale wieża wzięła skąd inąd swą nazwę. Oto sułtan Mohammed II miał córkę Dżemilę, którą kochał nadewszystko w świecie. Kiedyś, kiedy Dżemila była jeszcze dzieckiem, pewna cyganka wywróżyła, iż umrze ona od ukąszenia żmiji. Wówczas sułtan kazał wysłać kobiercami całe wnętrze tej wieży, kazał znieść doń najpiękniejsze złote i srebrne naczynia, najdroższe klejnoty i najbarwniejsze jedwabne stroje, a potem, przywiózłszy tu córkę wraz z gronem sług, — zamurować kazał jedyne drzwi. Codziennie przyjeżdżała łódź napełniona żywnością i kwieciem, a na linach wciągano obładowane kosze. Zdawać by się mogło, że żmija nie umiejąc pływać, i nie mając skrzydeł, do wieży się nie dostanie. Jednakże wróżba się spełniła.

Minął szereg lat. Pewnej nocy wybuchła burza i o skały wybrzeża Skutari rozbił się płynący z Indji okręt. Ocalał tylko jeden podróżny; trzymając się ułamku masztu dopłynął on do stóp wieży. Niewolnicy spali. Ale Dżemila usłyszała wołanie o ratunek, wyjrzała oknem, zobaczyła w świetle błyskawic twarz tonącego młodzieńca i rzuciła mu koniec długiej jedwabnej szarfy, chwila, i znaleźli się wobec siebie: księżniczka, która od dziecka nie widziała z blizka młodego mężczyzny, i hindus o gorącej krwi, który, choć widział dużo kobiet, nie spotkał nigdy tak pięknej. Stało się, co się musiało stać; wnętrze komnaty wysłane dywanami ze Smyrny było miękkie, jak ogromne łoże. Tylko hindus zapomniał o tem, że całe życie był zaklinaczem żmij i że na piersi jego, pod ubraniem, grzeje się ulubiona kobra. Dalszy ciąg odgadnąć łatwo. Kobra ugryzła księżniczkę i Dżemila umarła. Kochanek zrozpaczony skoczył w morze. Sługi, które spały zamiast czuwać nad powierzonym im skarbem, zamordowano z rozkazu sułtana. A wieża stoi jak stała, tylko fala u jej stóp płacze“.

26.XI. Wczoraj zwiedzałem miasto. Przyznaję, że gdy opuściwszy przystań, znalazłem się w dzielnicy Galata, doznałem ogromnego rozczarowania. Gdzież się podziały prześliczne białe pałace, cyprysy i słoneczny spokój bajecznego miasta. W wązkiej i niesłychanie brudnej uliczce, bez chodnika, brukowanej nierównemi kamieniami i ze ściekiem po samym niemal środku, osaczył mię jednocześnie okropny zaduch i zgiełk. Nieciekawy, choć różnojęzyczny tłum, przewalał się tu i kłębił jak w opętanym tańcu. Hamale (tragarze) z nie-

słychanej wielkości tobołami na plecach torowali sobie drogę silnemi pchnięciami muskularnych ramion; brzuchaci kupcy na śmiesznie małych osiołkach, żebracy, ludzie nieokreślonych zajęć, żołnierze, handlarze wody, owoców, słodyczy. Pod nogami przemykały co chwila wygłodzone bezdomne psy. Czasami poprzedzany brzękiem żelaza i ochrypłym krzykiem woźnicy przejeżdżał rozklekotany powóz, to znów szła karawana koni i mułów objuczonych drzewem.

„Grande rue de Galata" — tu już pachnie cywilizacją. Ale jakżeż brzydką jest ta ulica — parodja ulic europejskich. Aż się wierzyć nie chce, że to Konstantynopol — stolica sułtanów. Coprędzej skręcam w lewo, mijam gmach giełdy i znajduję się na moście Galaty. Jest to most pontonowy, jeden z dwóch łączących europejskie dzielnice Konstantynopola, Perę i Galatę ze Stambułem. Daje jeden „peru" stojącemu u wejścia na most strażnikowi i sunę powoli po przez tłum co chwila zatrzymywany i potrącany.

Ale oto i Stambuł. Zaledwie stąpiłem nogą na jego stary bruk, zaledwie skręciłem w pierwszą z brzegu uliczkę, doznałem wrażenia, że otworzył się przedemną inny świat. Co za cisza cudowna, jaki spokój! Nocą, gdy mrok ogarnie miasto, po tych wązkich uliczkach przechadza się zapewne głęboki, do śmierci zbliżony sen. Ale tymczasem śpi tu słoneczna pustka i bursztynowa mgła czepia się ścian. Małe drewniane domki chylą nad ziemią swą kratą osłonięte balkony. Być może patrzą stamtąd setki oczu... ale tu w dole zupełnie niemal pusto. Zrzadka ozwą się kroki przechodnia, a i ten idzie w milczeniu. Czasami przemknie kobieta osłaniając twarz „czarczafem", w swym czarnym stroju do mniszki podobna. Nawet tkwiący pod murem żebrak nie mąci ogólnej harmonji krzykliwą prośbą. Siedzi pogrążony w zadumie, a ruch, którym wyciąga dłoń po jałmużnę jest tak dostojny, że mam wrażenie, iż jest to nowy Harun al Raszyd.

Idę dalej posłusznie stosując swe kroki do skrętów uliczki; mijam leżące pomiędzy domami cmentarze, mijam grupy cyprysów i stare ruiny, i wreszcie ze szczytu jakiegoś pagórka ogarniam wzrokiem cały Stambuł. Położony na siedmiu pagórkach, tak samo jak Rzym, stanowi on właściwie dzielnicę Konstantynopola, a jednocześnie jest zamkniętem w sobie miastem, Od Galaty i Pery dzieli go Złoty Róg, od Skutari leżącego już w Azji — błękitny Bosfor. Stambuł wznosi się na miejscu dawnego Bizancjum, które to miasto, o ile wierzyć podaniom, zostało założone przez uchodźców z Megary pod wodzą niejakiego Byzasa. Od dnia, gdy tu stanęły pierwsze domy, przeszło wiele krwawych burz i groźnych wichrów, wzniosło się i upadło wielu władców; a ślad po nich pozostał w postaci cmentarzy i ruin, meczetów minaretów i baszt.

Zwiedzałem te zabytki gorączkowo mając w swem rozporządzeniu zaledwie jeden dzień. Zaraz na wstępie olśniło mnie bogactwo Ajah Sofji, na odnowienie której cesarz Justynjan wydał podobno w swoim czasie sumę równającą się miljonowi funtów angielskich. Zebrano tam najpiękniejsze marmury, najdroższe gatunki cennych drzew, mozajki, złoto, srebro, perskie fajanse i prześliczne dywany. Skarby te, zgromadzone staraniem chrześcijańskiego władcy, koleją zmiennych losów przeszły następnie w ręce mahometan. Na jednej ze ścian widnieje po dziś dzień odbicie krwawej dłoni; zgodnie z podaniem, Mohammed II, zdobywszy miasto i wyrżnąwszy obrońców świątyni, (w roku 953) przyłożył skrwawioną dłoń do muru, biorąc w ten sposób „Świętą Zofję" pod władzę Islamu. Jednakże opodal patrzy ze ściany inny, niemniej stary wizerunek. Przyjrzawszy się zblizka można na nim rozróżnić twarz Matki Bożej, a z obu jej stron twarze: Chrystusa i Jana Chrzciciela. Pomimo niejednokrotnych prób turkom nie udało się zatrzeć



Piękność afrykańska.

ani zamalować tego obrazu i widnieje on po dziś dzień, niby widomy znak, że Pan nie opuścił swojej świątyni i kiedyś do niej wróci.

Zwiedziłem jeszcze później do błękitnego snu podobny jeden z meczetów sułtanki Valideh, grobowiec sułtana Sulejmana, Wielki Bazar, i olbrzymi meczet sułtana Achmeda. Dumny ten władca ozdobił swą świątynię sześcioma minaretami, na wzór świątyni Proroka w Mekce. Jednakże wola oburzonego tem świętokradztwem ludu zmusiła sułtana do wzniesienia siódmego minaretu. Meczet ten, choć nie tak bogaty, jak Ajah Sofja, posiada



Kwiat Czarnego Lądu.

jednak dużo cennych zabytków, a na zwiedzających, robi ogromne wrażenie.

26.XI. Dziś o 11-ej rano opuszczam Konstantynopol. Żal mi, że tak krótko byłem w Stambule; sądzę jednak, że kiedyś jeszcze doń wrócę. Mam wrażenie, że ludziom którzy wszystko stracili, i którym życie nic już dać nie może, pobyt tutaj, dałby ukojenie, a śmierć przyszła by nieznacznie i cicho, jak sen.

27.XI. Pogoda śliczna, tylko dość silny północny wiatr oziębia powietrze. W Konstantynopolu wsiadła moc osób, tak że I i II klasa przepełnione. Jest paru Polaków, a że pobyt na statku ogromnie ludzi do siebie zbliża, więc zaprzyjaźniliśmy się już prawie i urozmaicamy sobie czas rozmową i grą w winta.

28.XI. Zbliżamy się już do Pireusu, który jak wiadomo jest portem Aten, gdy raptem zatrzymała nas znów służba sanitarna. Stoimy więc na kotwicy, oddaleni od wybrzeża o parę kilometrów, i będziemy tu stali z racji tej nieszczęsnej rosyjskiej cholery, conajmniej jeden lub dwa dni. Perspektywa wcale nie wesoła.

1.XII. Staliśmy trzy doby i wynudziliśmy się porządnie. Dla rozmaitości urządziliśmy wycieczkę łodziami na jedną z poblizkich wysepek, i bawiliśmy się tam wszyscy, jak małe dzieci. Był też i koncert zaimprowizowany naprędce: śpiewy deklamacja i muzyka. Zresztą towarzystwo na statku jest bardzo miłe i urozmaicone. Więc: serbski pułkownik, wojskowy „attaché“ w Konstantynopolu; prymadonna francuskiego dramatu jadąca na gościnne występy do Aten; poseł hiszpański ze śliczną dwunastoletnią córeczką i inni.

Że wszystko na świecie ma swój koniec, więc i my, po trzydniowej zwłoce, ruszamy wreszcie dalej. O 9-ej rauo jesteśmy już w Pireusie. Brudno tu i ani miasto, ani jego mieszkańcy w niczem nie przypominają klasycznego piękna starożytnej Grecji. Zresztą mając bardzo mało czasu nie zatrzymuję się tu dłużej i w towarzystwie dwuch panów, Polaków, jadę kolejką elektryczną do Aten. Droga biegnie pośród pól lub otoczonych ogrodami wiosek. Narazie jest równina, po chwili jednak na prawo poczynają się wznosić wzgórza coraz wyższe i na szczycie jednego z nich widzimy Akropol. W blasku słońca srebrzy się na tle nieba, jak haft z białego marmuru. Pociąga nas ogromnie; to też zaledwie rzuciwszy okiem na niebrzydkie zresztą Ateny, bierzemy powóz, i karzemy się wieźć do Akropolu. Ze wzgórza, na którem leżą ruiny, roztacza się prześliczny widok, ale że nagły poryw wiatru przynosi ku nam krążące dotychczas w oddali chmury, a z chmur tych zaczyna lać deszcz, więc niestety musimy coprędzej wracać.

Na statku spotykam oczekiwanego pana D., z którym razem mamy polować w Afryce. Odwoził on żonę i dzieci na Korfu, i dlatego wyjechał z Odessy o tydzień wcześniej. Po południu wyruszamy w dalszą podróż. Wiatr silny, morze burzliwe; większość pasażerów choruje i nie opuszcza kajut. Ja oswoiłem się już z bujaniem; owinięty w palto, bo jest raczej chłodno, przyglądam się falom. Statek co chwila unosi się w górę, opada i znów staje dęba; mam wrażenie, że siedzę na koniu biorącym przeszkody. Bałwany piętrzą się

wkoło, a z załamań ich grzbietów spływa biel piany, niby fantastyczne pęki białych powojów.

2.XII. Dziś cudowny dzień. Pomimo, że jest dopiero dziewiąta rano, w cieniu mamy 16°R, a na słońcu tak gorąco, jak u nas latem. Jedziemy wzdłuż wybrzeża Krety i to tak blizko, że przez lornetkę widać domki rozrzucone nad morzem u stóp gór; dołem zieleń, wyżej, niektóre szczyty lśnią ciemnym fioletem, inne, pokryte śniegiem, srebrzą się i złocą. Pod wieczór zaczyna kropić deszcz, ale morze, choć brzydkiej ołowianej barwy, jest ciche i senne.

3.XII. Upał łagodzony słabym wietrzykiem. Niebo i morze błękitne, tak podobnej do siebie barwy, że jedno zdaje się być odbiciem drugiego. Po niebie płynie parę białych obłoczków, a na fali pojawia się czasem rąbek srebrnej piany. Jest bardzo pięknie i można by się zachwycać bez końca, ale Afryka blizko i jestem cały przejęty tem, co mię na czarnym lądzie czeka. Co chwila dopomagając sobie lornetką posyłam wzrok w dal, ale dopiero pod wieczór zjawia się na widnokręgu szara wstęga ziemi. Do portu Aleksandrji wchodzimy już nocą, sunąć ostrożnie pośród innych statków. Jest zapóźno, by się udać na ląd i szukać hotelu, więc nocuję raz jeszcze w swej kajucie. Sny mam niespokojne, pełne lwów i słoni.

(D. c. n.). *Bronisław Gordziałkowski.*

KROGULEC.

(Monografja myśliwsko-przyrodnicza).

2

ZWYCZAJE.

Ciekawie zachowuje się samica krogulca na wiosnę. Oto, przelatując zagajniki i polany, zadziera podczas lotu długi ogon do góry, przyczem ćwierka donośnie. Chce zapewne swym głosem zwrócić uwagę samczyków na zalotną postawę i zniewolić je dla siebie. A te loty z zadartym ogonem powtarza tak długo, dopóki nie znajdzie amatora. Być może, że i niejeden małżonek, którego żona siedzi już na jajach, ulega przemożnej pokusie. Ostatecznie łączy się z nią ten samiec, który jeszcze żony nie znalazł.

Krogulec wędruje niekiedy w jesieni za ziębami, które tępi bez miłosierdzia, w dalekie krainy. Najchętniej jednak przebywa w okolicach, w których się wywiódł, lub w których w poprzedniej zimie polował. Strzelałem w zeszłym roku do krogulca przez szczelinę w parkanie. Siedział na grubej gałęzi jabłoni i skubał pracowicie wróbla.

Strzelony opuścił łup i wzbił się odrazu w górę. Zauważyłem zwieszoną nogę.

Obejrzałem żerowisko i znalazłem w ciele wróbla urwaną pociskiem część nogi ze szponami Krogulec ten żyje do dzisiaj... Na wiosnę znika, niema go w lecie, a na jesień przylatuje i trzyma się tego miejsca, w którem spotkała go życiowa katastrofa. Poznaję go po tem, że z trudnością

RAMOTY I RAMOTKI MYŚLIWSKIE.

O czem niemyśliwy wiedzieć powinien.

1

Myśliwy to człowiek osobliwy, niezwykły, uprzywilejowany, doskonały, nadzwyczajny stwór przyrody — godzien zazdrości!!!...

Cierpliwości, zaraz udowodnię! Że myślistwo jest osobliwością to już dowodzi, iż posiada osobną gwarę, przez uczonych terminologją nazwaną, której gdybym miał użyć do pisania „Ramotek“, nie wtajemniczony słowaby nie zrozumiał. Dlatego też nie piszę w tym języku.

A czy nie zazdrość utworzyła złośliwą plotkę, iż wystarcza w odpowiedniem miejscu nasypać pewną ilość soli, aby wszelkie zwierzę padło nieżywe? Stało się to jedynie, aby obniżyć zdolność i zręczność myśliwską. Bajka to oczywista. Myśliwy potrzebuje do wykonania swej sztuki różnych skomplikowanych przyrządów, a mianowicie: kawał żelaza z dziurą, w którą wkłada z tyłu mały naparstek czarnego, lub szarego proszku; poczem za skrzywieniem palca powstają w rurze pewne zaburzenia pyrotechniczne i nagle wypada z przodu

siada na gałęzi i że siedząc na niej, nie może utrzymać na jednej nodze równowagi. Podejść go jednak trudno...

Krogulec zamieszkuje lasy liściaste i szpilkowe. Gdy znajdzie obfity pokarm w lesie, nie opuszcza go dopóty, dopóki nie wytępi lub nie wypłoszy wszystkich, służących mu za pokarm ptaszków. W lesie także się gnieździ. Pokarm jego stanowią tam zięby, potrzeszcze, czyżyki, gile, szpaki, jemiołuszki, drozdy, kwiczoły i inne.

W polowaniu zdobywa sie na podstępy i pomysły, których i myśliwy mógłby mu pozazdrościć. A chodzi mu przedewszystkiem o nagłe zbliżenie się do łupu na bliską odległość. Aby oszukać ptaki, zmienia nawet sposób latania. Widziałem, jak udawał pustułkę, która jak wiadomo, zawisa w powietrzu w jednem miejscu, poruszając nieznacznie skrzydłami. Zależy jej na złowieniu myszy, żerującej blisko nory, a nie widzącej, co się w górze nad nią dzieje. Taki sam lot wykonuje i krogulec, ale celem jego jest wypatrzenie ptaszka, ukrytego na ziemi wśród trawy. Pustułki ptaszek się nie lęka; zauważył to krogulec i naśladuje ze skutkiem pustułkę. Widziałem niedawno, jak krogulec machał zawzięcie i głęboko skrzydłami, udając lot wrony, aby wprowadzić w błąd makolągwy, żerujące na ziemi. I podstęp mu się udał, bo wnet rzucił się lotem strzały na ptaszki i chwycił jednego. Gdy jednak jest głodny, zaprzestaje fortelów, a uderza na łup energicznie i stanowczo, czy to z wielkiej nieraz wysokości, czy też lecąc szybko ponad ziemią do zoczonej ofiary.

Uderzenie z góry, w pionowym kierunku, daje krogulcowi prawie zawsze upatrzoną zdobycz; może być jednak połączone z utratą życia dla niego wtedy, gdy celując w ptaszka, przeoczy np. druty telefoniczne, o które uderzywszy głową, zabija się na miejscu. Byłem świadkiem takich wydarzeń.

W jesieni i w zimie odwiedza parki, aleje i skwery, położone nawet w centrum miasta, gdzie ruch panuje zawsze ożywiony i poluje tam na wróble, nie krępując się wcale obecnością ludzi. Upolowanego ptaszka zanosi na pierwszy załom dachu lub komin i tam zjada.

Pamiętam, jak raz przed wojną usadowiła się para krogulców w środku Lwowa, w ulicy Legjonów, i porywała codziennie zwłaszcza przed wieczorem ku zgrozie przechodniów, gromadzące się na drzewach wróbelki. Systematyczne to polowanie krogulców spowodowało aż artykuły dziennikarskie i zniewoliło lwowskich nemrodów do zbrojnej interwencji, która zlikwidowała ostatecznie akcję skrzydlatych bandytów.

P. Marja Ejsmondowa pisze w Nr. 6 „Przeglądu Myśliwskiego“ z 15 marca 1925 o tych drapieżnikach następująco: „Od połowy lutego mamy na placu „Trzech Krzyży“ widowisko w mieście dość niepowszednie. Oto codziennie prawie przed zachodem słońca para drapieżników wyprawia przedziwne, napowietrzne harce, szerząc wśród wróblich rzesz popłoch niesłychany. Pierwsze pojawienie się owych przybyszów zgromadziło tłumy widzów, przypatrujących się z ciekawością bajecznie zwinnym ptakom, które błyskawicznym ruchem w lot chwytając wróble, unosiły swą zdobycz na najbliższe dachy, lub wieże kościelne. Przy każdem ukazaniu się któregoś z napastników podnosiła się szalona wrzawa i gwizd w rozbawionej gromadzie chłopaków, płoszących rabusia waleniem co sił kijami w żelazne osłony ubikacji, na skwerku umieszczonych. Niespodziewany ten atak wywoływał łatwo zrozumiałe zamieszanie i komiczne incydenty wśród przygodnych gości.

śrót, lub kula, trafiony zwierz w pewne wycelowane miejsce, kładzie się trupem.

Jakie posiada szczególne wyróżnienie oficjalne i urzędowe dowodzi mianowanie przez najwyższą ludzką władzę przy Ministerjum Rolnictwa i Dóbr Państwowych własnego Dyrektora, który ma znów szczególny zakres działania i podobnie Ministrowi Finansów dyktaturę do sanacji stosunków myśliwskich Rzeczypospolitej. Może więc sprowadzić lub niesprowadzić żubra do Białowieży. Może wilkom w Karpatach i na Polesiu zakazać pożerania sarn i jeleni. Może kurom bażancim i kuropatwom rozkazać, ażeby więcej jaj niosły i pilniej siedziały na gniazdach. Może zającom zalecić rychlejsze rozpoczęcie parkotów, sarnom i jeleniom przedłużenie czasu ruji i rykowiska. Któżby tam zliczył wszystkie jego pełnomocnictwa. To jest na ziemi, ale i w niebie posiada protekcję.

Podczas gdy wszystkie inne profesje tylko po jednym, on posiada aż dwóch patronów: św. Eustachego i Huberta. Dwaj ci biskupi mają jeszcze ten prerogatyw, iż podobno (w niebie nie byłem jeszcze) wraz ze św. Piotrem, są dostawcami nadwornymi; pierwsi dostawiają zwierzynę, drugi ryby, a Pan Bóg sprawiedliwy i najlepiej wiedzący co dobre, przekładając zwierzynę, troszczy się o myśliwego specjalnie.

Nic więc dziwnego, iż wpływ ich w niebie, a stamtąd na sprawy ziemskie, jest wielki. Dali oni więc myśliwemu wytrwałość i cierpliwość, dwie cnoty, które mogą zrównoważyć przynajmniej cztery z dziesięciu grzechów głównych.

Rozzuchwalone natomiast ptaki nie wiele z hałasu sobie robiły, ze zdwojoną zaciekłością ścigając wystraszone wróble.

Stojąc przy oknie, obserwowałam przez lornetkę zachowanie się drapieżników. Początkowo trudno było ustalić, czy to „sokoły wędrowne", czy też odmianę jastrzębia „Krogulcem" zwanego, mamy przed sobą. Z uwagą śledziłam zwinne ruchy ptaków, śmigających w powietrzu lotem strzały, nagłe ich zwroty przy zmianie kierunku, nawet sylweta ciemna, ostro rysująca sie na tle nieba czyniła je dziwnie podobnemi do sokołów.

Niezwykła jednak łapczywość, z jaką drobne ptaszki łowiły, wskazywała, że to krogulce być muszą, sokoły bowiem gardzą tak poślednią zdobyczą..."

Przyciśnięty głodem, wpada krogulec za wróblem do stodół, sieni, a nawet do izb przez otwarte okna i tam łatwo schwytać się daje. Złowiony nie traci nic ze swej fantazji i zadzierżystości: wodzi bystro oczami, śledzi badawczo każdy ruch ręki człowieka, kąsa dotkliwie i drapie szponami, których używa w sposób mistrzowski.

Najedzony, z wypchanem wolem, które z daleka nawet odbija od szyi swą wypukłością, wzlatuje krogulec nieraz bardzo wysoko, zakreśla w powietrzu piękne łuki i woluty i przyspiesza w ten sposób proces trawienia. Gdy po jakimś czasie lot zniży, już jest głodny i zaczyna na nowo polowanie.

Łup zjada albo na ziemi w ustronnem miejscu, albo najczęściej na gałęzi drzewa, co obserwowałem niejednokrotnie tak u nas w kraju, jak na Węgrzech, w Styrji i Dalmacji...

Przez cały dzień siedzi w ukryciu zwykle na gęstem drzewie, blisko pnia. Najedzony, igra wesoło z innemi dużemi ptakami np. ze srokami lub wronami, które mu czasem swem natręctwem dokuczają. Odpędza je precz od siebie, używając nieraz szponów i dzioba. Wskutek razów dziobem zadawanych, lecą pióra ze srok i wron. Nie spocznie, dopóki natrętów ze swego drzewa nie odpędzi...

Mimo krótkich skrzydeł lata bardzo szybko i zwinnie, chód ma natomiast niezgrabny, skaczący.

Samiec i samica są jednakowo odważne i w równym stopniu zapalczywe. Samica, jako znacznie większa, uderza na roślejsze ptaki. Niektórzy przyrodnicy i myśliwi twierdzą, że nawet kuropatwy atakuje.

Obserwowałem raz kuropatwy na śniegu w polu obok zabudowań dworskich. Z pobliskiego cmentarza przylatywał codziennie rano do sadu krogulec samiec i polował na wróble, siadające w krzakach agrestu i porzeczek przed mojem oknem. Droga do sadu wypadała mu obok żerowiska kuropatw. Przelatywał nad niemi może na metr wysoko i nigdy żadnej nie zaczepił. I kury nic sobie z niego nie robiły, bo skubały się swobodnie, grzebały w śniegu, chodziły. Nawet nie przysiadały, gdy ku nim leciał, a przecież przysiad jest pierwszym zbawczym instynktownym ruchem kuropatwy. Nie wiadomo, jakby się była zachowała wobec kuropatw samica krogulca, gdyby była głodna.

Że młode kuropatewki cierpią od krogulca i to bardzo, nie ulega wątpliwości; poluje też na nie, jeśli tylko gniazdo wytropi.

Swej zdobyczy broni zaciekle przed wroną i sroką, zakrywając zwyczajem innych drapieżców łup — skrzydłami. Gdy mu wrona zanadto dokuczy, rzuca się na nią odważnie, kaleczy szponami jednej nogi, gdy w drugiej równocześnie przytrzymuje zdobycz. Pod tym względem różni się od sokoła wędrownego, który napastnika takiego, jak myszołów lub gołębiarz, odpędza ener-

---

Każdy jest na to stworzony, aby się borykał z przeciwnościami, ale gdzież tu porównanie z myśliwym? Ileż to różnych zabiegów, wypraw podchodnych i podjezdnych jako bezowocnych zapisać musi w swym zawodzie.

Żaden młodzieniec, chociażby to był sam Romeo Monteki, nie przesiedziałby tyle nocy pod balkonem bez pocałunku swej ukochanej, ile on przepędzi bez skutku w porannych i wieczornych zasiadkach i czatach nocnych. Wszystko to go nie zraża, wszystko to miłości do myśliwstwa nie wystudza. Wytrwałość jego pozostaje ta sama przy doznanych niepowodzeniach, nienaruszona ochota.

Z łaski świętych patronów myśliwy z anielską cierpliwością dziewiąty raz bezskutecznie wyczekuje o zmroku na przeciągające słonki, jedenaście razy wychodzi o świcie na tego samego kozła Dwadzieścia jeden razy zasiada na ambonie lub w wykopanym dole na kapitalnego rogacza, a trzydzieści nocy poświęca zasadzanemu głuszcowi, podczas gdy najcierpliwsza kura wysiada młode już w trzech tygodniach.

To są rzeczy nadzwyczajne i zastanowienia godne! Ale zdziwienie profanów będzie jeszcze większe, jeżeli wykażę dalsze przywileje nasze i dalszą różnicę pomiędzy człowiekiem chodzącym z bronią w ręku, a takim sobie zwykłym pospolitakiem, co ma kalosze na nogach, chodzi w cylindrze i pod parasolem. Podczas gdy ostatniemu przy niefortunnych czynnościach zamykają się Hadesu bramy nieraz na zawsze, myśliwemu Aurora w złotej jutrzence nadziei przyświeca bezustannie

gicznie sam, bez łupu w szponach, zostawiając go tymczasem na ziemi.

Ma zwyczaj wycierania dzioba po każdem jedzeniu, a czyni to starannie i dokładnie, bo nie lubi, aby na dzióbie zostawały resztki krwi, mięsa lub pierza. O czystość szponów już jest mniej dbały.

Przy wielkiej swojej zapalczywości odznacza się krogulec przytomnością umysłu, podstępnością i chytrością. Z wyjątkiem gołębiarza, żaden inny ptak drapieżny nie może równać się z nim w tym względzie. Wie o tem doskonale, że go ptaszki poznają już zdala po locie i po długim ogonie, dlatego naśladuje chętnie lot i wogóle zachowanie się innych niedrapieżnych ptaków.

Widziałem raz, jak przelatywał długą aleję, przenosząc się udatnym lotem sójki od drzewa do drzewa, by się zbliżyć do stadka trznadli, które sobie siedziały na drzewie na końcu alei. Gdy już podleciał do nich na wystarczającą odległość, uderzył lotem błyskawicy na pierwszego z brzegu trznadla i zanim się ten spostrzegł, już krwawił w szponach drapieżcy.

Sparaliżowane strachem wróble, szczególniej wtedy, gdy się wśród nich nagle zjawi, nie uciekają, lecz dają się ująć bez najmniejszej próby ucieczki. Widziałem, jak raz wieczorem podleciał z parku, w którym czatował, pod moje okno, obrośnięte dzikim winogradem i począł wypędzać układające się do snu wróbelki. Wypłoszył wreszcie jednego, ale ten zamiast co rychlej odlecieć, usiadł pod oknem na śniegu. Na to tylko krogulec czekał. Podskoczył do swej ofiary, chwycił w szpony i odleciał do parku. Nieszczęsny wróbel wydał tylko jeden krótki boleścią i trwogą nacechowany pisk i ucichł. Ukróciłem wnet te zbójeckie wyprawy krogulca celnym strzałem, który go rozciągnął na ziemi.

W pogoni za zdobyczą nie daje się krogulec niczem powstrzymać; ani krzyk ludzi, ani rzucanie kamieniami, ani nawet strzał chybiony — nie robią na niego większego wrażenia.

Zeszłej jesieni zastrzeliłem krogulca, który bezpośrednio po moim strzale do cyranek, przeleciał obok mnie i usiadł na wysokim brzegu Wisłoka, w trawie. Zaciekawiony jego zachowaniem się, śledziłem za nim i zauważyłem, że co chwila podlatuje i znowu na szkarpie zapada. Naraz wyleciało mu prawie z pod nóg stadko makolągw. Zauważył je widocznie już przedtem i teraz począł tropić i wreszcie wypędził. Chwycił też jedną w locie i usiadł, by ją spożyć. Poszedłem do niego blisko i uśmierciłem okrutnika.

Naśladuje czasem doskonale szczupakowaty lot puszczyka, a stosuje go wtedy, gdy przelatuje na poprzek z jednej pochyłości dachu na drugą, spodziewając się zastać żerujące na śmietniku podwórza wróble. Lot jego jest wtedy tak szybki i cichy, że czyni sobą wrażenie rzuconego niewidzialną ręką kamienia.

Nocuje najchętniej w gąszczu świerków lub sosen w połowie wysokości drzewa; w braku drzew szpilkowych wybiera gęste dęby lub graby. Na nocleg przylatuje o zmroku, szybkim, energicznym lotem i zajmuje odrazu wybraną gałąź. Po kilku badających spojrzeniach w dół i na boki, strzepuje pióra, wciąga głowę i szyję w ramiona i zasypia. Spłoszony przypadkiem wraca uparcie nawet wśród nocy na wybrane miejsce spoczynku.

Głos wydaje rzadko. Strzelony i zbarczony ćwierka głośno. Na widok innego drapieżnika np. sokoła lub gołębiarza wydaje głos trwogi, podobny do brzmień: „kek, kek, kek“, szybko następujących po sobie. Nad gniazdem z młodemi odzywa się głosem: „ki, ki, ki“.

(*D. c. n.*). *Władysław Gürtler.*

Weźmy dla przykładu; chybił długo oczekiwanego czternastaka, to rogacz zawsze jeszcze wrócić może, ale wół który pękł piastowcowi w koniczynie, już nigdy.

Albo: na polowanie wychodzi z naplecznikiem próżnym, a wraca przecież od czasu do czasu i z pełnym. Wierny zaś poddany Rzeczypospolitej idzie do urzędu skarbowego zawsze z pełnym pugilaresem, a wraca najwyżej z kawałkiem papieru z facsimilem podpisu urzędnika finansowego.

Jeżeli dalej mąż z bronią postrzałka nie znalazł po strzale na wieczornym stanowisku, to zawsze pozostaje mu nadzieja, iż mądry Hektor nazajutrz go odszuka, ale zegarek, co zgubił pan w kaloszach, a co go znalazł ktoś w tramwaju, już nigdy.

Myśliwy, co z fuzją bąki strzela, zawsze przynosi coś nie coś do domu, człowiek z parasolem, co bąki strzela, nigdy.

Gdy żona człowiekowi w cylindrze na wiosnę odciągnie za granicę, wątpliwe bardzo czy wróci; słonka myśliwemu na przyszłą wiosnę z pewnością.

Albo i taki przykład: gdy pewnego roku jeden z żyjących jeszcze męczenników z pod patronatu św. Izydora, którego świętego wpływ w niebieskiej radzie stanu coraz to mniejszy, zapytał z kwaśną miną, skąd mnie w dzisiejszych paskudnych, psich czasach, bierze się ochota do pisania ramot?

Sytuacja dla mnie tak komiczna, objaśniłem nieszczęśliwca, iż postanowiłem ją literacko wyzyskać.

To znów dla odmiany było tak, iż urato-



Jeszcze o gołębiarzu.

Dla dopełnienia charakterystyki gołębiarza, w związku z monografią gołębiarza umieszczoną w „Przeglądzie“, pozwalam sobie dorzucić słów kilka, cytując wypadki, których sam byłem świadkiem.

1. Gołębiarz napadł raz na dużego domowego gęsiora tuż koło budynków mieszkalnych służby folwarcznej. Gęsior zawzięcie bronił się uderzeniami skrzydeł i jednem z nich ogłuszył jastrzębia, nadbiegłe zaś kobiety zabiły rabusia kijami.

2. Podczas naganki na zające miałem raz stanowisko na skraju lasu. Przemykającego polem szaraka położyłem w odległości kilkudziesięciu kroków i stałem dalej cicho, nie zdradzając niczem swej obecności. Śmiertelnie ranny szarak rzucał się jeszcze czas jakiś po śniegu. Po chwili spostrzegłem, że duży gołębiarz nadleciał z sąsiedniego lasu i wbił szpony w ciało zajęcze. Mogło to się stać w kilka minut po moim strzale do szaraka. Niestety do gołębiarza spudłowałem.

3. Przy trupie końskim zatrutym na wilki znalazłem otrutego gołębiarza. Oczywiście przyciśnięty głodem drapieżnik, aczkolwiek amator świeżego mięsa i ciepłej krwi, nie pogardził rolą sępa.

Przesyłam powyższe dane dla dopełnienia charakterystyki gołębiarza. Sądzę wogóle że łowiectwo w Polsce winno być nie tylko szlachetną rozrywką, lecz być również na usługach polskiej nauki. Myśliwi, którzy ogólnie mają tyle sposobności do obserwowania życia zwierząt i ptaków, powinni komunikować pismom łowieckim swe spostrzeżenia, jako przyczynek do badań nad fauną ojczystą. Uniwersytety i wogóle wyższe zakłady nasze nader ubogie w zbiory i kolekcję. Czy p. p. myśliwi nie podjęliby się uzupełnić je nadsyłając wypchane upolowane rzadkie okazy? Rzucam myśl tę ku uwadze kolegów — myśliwych.

Jan Borowski.

---

wałem życie jednemu z pod znaku św. Łukasza. Był on już bliskim powieszenia się w towarzystwie dziewięciu, od reformy finansowej na wystawie wiszących a niesprzedanych obrazów.

— Kolego, mówię desperatowi, gdy już się kochasz w tej śmierdzącej terpentynie i pokoście, spróbuj i odtwórz, zanim się powiesisz, jakie zwierzę łowne; takie rzeczy ogromnie odchodzą, kupują to wszystkie składy delikatesów. U mnie kucharka— przepraszam — lokaj ma rozkaz nie przyjmowania natrętnych wydawców, a gdy raz mnie niespodzianie w ogrodzie napadli, zmuszony byłem przed nimi wdrapać się na drzewo.

I adept sztuki św. Łukasza posłuchał rady zpotretował z wielkim powodzeniem jakąś małpę palącą przemycanego papierosa, wziął złoty medal i tym sposobem uratowano życie wielkiemu artyście.

Osobnikowi w cylindrze, a nawet i temu co chodzi w dziurawych butach, zdarzy się czasem że coś delikatnie wymyśli; poprostu powiedziawszy zełże. Na jego usprawiedliwienie trzeba powiedzieć, iż nie ze zbytku to czyni, tylko z potrzeby. O mężu, co chodzi ze strzelbą nigdy tego powiedzieć nie wolno, co on powie każdy mu wierzy na słowo. Czy np. śmiałby kto zaprzeczyć prawdzie tego, co powyżej napisałem? albo czy będzie kto jeszcze powątpiewał, co na wstępie powiedziałem, iż myśliwy jest nadzwyczajny stwór przyrody, godzien zazdrości?

Co w następnych stronach czytać będziecie, zebrałem w bogobojnym myśliwskim żywocie,



Teraz i dawniej — i dlaczego zwierzostan u nas upada?

Ostatnie to pytanie, żywo interesuje każdego myśliwego. Zastanawiałem się i ja nad niem długo, aż wreszcie udało mi się wyjaśnić sobie najważniejszą przyczynę. Jest nią, mojem zdaniem, wprost wzrastający w ostatnich latach przyrost ludzi, którzy polują. Umyślnie nie używam słowa: myśliwych, bo tylko znikomy procent z nich, zasługuje na tę zaszczytną nazwę. Prawdziwych myśliwych jest coraz mniej — są to obecnie już tylko unikaty. Od paru lat zapanowała i rozszerza się po całym kraju jakaś groźna epidemja, którą nazwać można: „polowaniomanją“. Za punkt honoru uważa sobie każdy, aby uchodzić za myśliwego—mnożą się więc pseudomyśliwi, jak grzyby po deszczu i miałoby się ochotę przemówić do nich podobnie, jak ongi Petronjusz do Nerona: „Grajcie w brydża, w mah-jonga, w foot-ball, w tennisa, tańczcie shimmy i fox-trotta, słuchajcie radio, ale — nie polujcie!..“ Byłby to jednak głos wołającego na puszczy, bo nic nie jest w stanie powstrzymać tej strasznej zarazy, która na kształt olbrzymiego pożaru objęła kraj cały.

I zastanawiam się nieraz nad tem, dlaczego ta epidemja zaatakowała właśnie najpiękniejszy i najszlachetniejszy z naszych sportów. Nie będzie to zupełnie trafne porównanie, bo trudno nazwać muzykę sportem, ale przychodzi mi czasem na myśl, co by to było, gdyby tak zamiast „polowanio-manji“ padła na kraj nasz „muzyko-mania“. Jak teraz każdy, kto posiada dubeltówkę i nauczy się strzelać już uważa się za myśliwego, tak wtedy nawet i ci, którzy od urodzenia pozbawieni są słuchu nabywaliby ten skrzypce, tamten flet, trąbę lub wiolonczelę etc., nauczyliby się wydobywać z tych instrumentów różne tony i już uważaliby się za skończonych muzyków, którzy mają prawo dawać koncerty. Zbieraliby się w kilku lub kilkunastu i dopieroż by to odchodziły prawdziwe „kocie muzyki“. Coby na to powiedzieli ludzie prawdziwie muzykalni, będąc na podobnym koncercie? A czyż dla rzeczywistego myśliwego nie jest że to samo znaleźć się na polowaniu wśród tych nowoczesnych strzelców? Były pojedyńcze wypadki

---

w skromnych granicach łowisk wielkopolskich. Dają one obraz różnorodności myślistwa, jego uciech i zawodów, tryumfów i rozczarowań, udowadniają, iż każdy rok, miesiąc i dzień w czynnościach myśliwego jest inny, iż różnorodność przyrody, iż pomysłowość ludzka walcząca z mądrością i instynktem zwierza jest niewyczerpana i że mimo wszystkich forteli stron przeciwnych — „chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi“.

Różne przygody, opisane w ramotach, albo są przezemnie przeżyte, albo jako prawdziwe inni zachowali je potomności, opowiadając winem zamglonej kompanji objadków myśliwskich osobliwe zdarzenia. Mnie pozostało tylko je odalkoholizować trochę, nadać im koloryt właściwy i w odpowiednie przybrać ramy.

Czy są prawdziwe, czy też stworzyła je fantazja myśliwska, której granice na globie ziemskim nie są ograniczone? Czy też pamięć lub pomysłowość tych kochanych poczciwych bibuł wydobyła je z jakiego starego anegdotnika?

Któż odgadnie?!!!

Na każdy wypadek więc rozpoczynam jak pan Jowialski:

— Znacie przygodę wujka na kaczkach?

— Znamy! znamy!

— A słyszeliście ramotę o panu Domejce i Dowejce?

— Słyszeliśmy! Słyszeliśmy!

— No, to słuchajcie!

Wł. Janta Połczyński.

(*D. c. n.*)

objawów tej choroby i w innych sportach. Pojawiali się tacy niepowołani sportsmeni i na torze mokotowskim, ale z takimi panami prędko sobie dawała radę warszawska publiczność, a w pierwszym rzędzie gracze w totalizatora. Wnet ich wyśmiano, wygwizdano i zwymyślano, a gdyby się byli nadal upierali i chcieli brać udział w następnych wyścigach nie byłoby się obeszło ze strony widzów bez czynnego zamanifestowania swego niezadowolenia. Gorzej jest z polowaniem, bo tu trudno jakąkolwiek radę wynaleźć.

Żeby dowieść, iż to co piszę nie są czcze frazesy, postaram się tu przytoczyć na poparcie mych słów znane mi fakty i cyfry.

Lat temu dwadzieścia pięć, gdy byłem jeszcze bardzo młodym i początkującym myśliwym w całej naszej okolicy t. j. w dwóch powiatach opatowskim i sandomierskim z trudem można było naliczyć kilkunastu myśliwych, nie licząc naturalnie zawodowych kłusowników; tych ostatnich nie było nigdy tutaj dużo i trzymali się jedynie w pobliżu większych leśnych przestrzeni.

Polowali jedynie właściciele majątków leśnych, a takich w tych stronach była ilość znikoma, większość bowiem folwarków lasów nie posiada. Polowania na zające w polu wtedy absolutnie nie uznawano, chyba z chartami, ale i tych było tak mało, że w obydwóch powiatach nie zebrałoby się nawet sztuk dwadzieścia. Chociaż w każdym prawie dworze znalazłaby się gorsza lub lepsza flinta, częściej trzymano ją od parady, niż do użytku i niejeden właściciel takowej znalazłby się w nielada kłopocie, gdyby mu wypadło broń nabić, a cóż dopiero strzelić. Ale za to dla tych kilkunastu wybranych myśliwych nie brakowało wtedy terenów do polowań. Kiedy nadszedł tak upragniony dzień 14 sierpnia, „dzień otwarcia polowań na kuropatwy“ sypały się ze wszystkich stron zaproszenia, jak z rogu obfitości, bo każdy z niepolujących sąsiadów rad był zaopatrzyć śpiżarnię w smaczną zwierzynę.

Krótko jednak trwały te dobre czasy... zaledwie lat parę—aż do czasu wprowadzenia do naszych polowań t. zw. „kotła“. Ten system polowania zrobił istny przewrót w całej okolicy. Przez dawnych myśliwych przyjęty został odrazu z wielką niechęcią, ale ogół posiadaczy broni, powitał go z entuzjaznem—i już w następnym roku po pojawieniu się w tych stronach uzyskał szalone powodzenie. Ci co dawniej nie brali strzelby do ręki teraz zaczęli polować namiętnie, jeżdżąc z polowania na polowanie. Dziś zdaję sobie dokładnie sprawę, dlaczego tym wszystkim pseudo-myśliwym ten sposób polowania przypadł do gustu i miał wśród nich takie powodzenie. Bo przecież na to aby polować w kotła, nie trzeba mieć żadnych innych kwalifikacji, a tylko umieć strzelać. Tu nie odgrywa najmniejszej roli tak zwany „nos“ myśliwski, ani znajomość terenu i obyczajów zwierzyny. Takie polowanie nie pociąga za sobą żadnych trudów i niewygód, nie krępuje w niczem. Można głośno rozmawiać, ruszać się do woli, palić papierosy, a przytem rozmaitość wielka i gwar podniecający nerwy. Nie ma tej tajemniczej, głuchej ciszy kniei, którą my, dawni myśliwi, kochamy nad wszystko. I strzał łatwiejszy, bo drzewa nie przeszkadzają,



SETTER LAVERAK — wł. dr. Koźmian, (zach. małop.), nagrodzony złotym medalem (jedyny z psów myśliwskich) na wystawie psów w Krakowie (od 30.XI. — 3.XII.1924 r.).

jest czas przygotować się do niego, bo zająca widać zdaleka. Zamiast ciszy — słychać wrzask piekielny naganki, dzikie krzyki, kłótnie i wymyślania. A jakiż olbrzymi procent zwierzyny ginie w każdym kotle. W lesie dużo zajęcy ratuje się, cofając się na nagankę, dużo też niezauważonych nie rusza wcale z kotliny, część tak szybko przeskakuje przez linję, że nawet najwprawniejszy myśliwy nie zdąży strzelić.

W polu, w kotle, przy dobrych strzelcach zaledwie maleńki procent ratuje swe życie, a i z tego duża część mocno pokaleczona. Z całą więc stanowczością twierdzę, że takie polowanie jest-to ohydna i wstrętna rzeź, która nie ma nic wspólnego z prawdziwem myśliwstwem. Ten właśnie sposób polowania przygotował należycie grunt dla tej strasznej zarazy, która grozi kompletną zagładą zwierzyny w kraju. Choroba ta zaczęła się od czasu wprowadzenia u nas kotła, co miało miejsce lat temu dwadzieścia; została ona chwilowo tylko wstrzymana przez wojnę, ale za to po wojnie wybuchła w całej pełni. Obecnie poluje każdy właściciel majątku, a na wsi, już z obowiązku, wszyscy nauczyciele ludowi, organiści, a gdzie jest stacja kolejowa tam już napewno zawiadowca, kasjer i ich pomocnicy. Cóż dopiero się dzieje w każdem miasteczku, jeżeli taka marna mieścina jak Ostrowiec posiada myśliwych kilkudziesięciu. Do niedawna każdy z takich myśliwych polował na własną rękę i był wtedy stokroć mniej szkodliwy—teraz w myśl zasady „l'union fait la force“ wszystko to połączyło się w jakieś od „siedmiu boleści“ kółka myśliwskie, do których skwapliwie się powpisywali wszyscy okoliczni kłusownicy. Powydzierżawiali wszystkie włościańskie grunta i polują zawzięcie w kotła. Nie wiem jak inni myśliwi, ale ja zapatruję się bardzo czarno na przyszłość i zdaje mi się, że wkrótce nadejdzie ten moment, kiedy będziemy polować na „otropionego zająca“. I jak niegdyś w „Panu Tadeuszu“ wpadł, zdyszany gajowy z nowiną o niedźwiedziu, tak do synów i wnuków naszych będą wpadać z wiadomością — „zając się w lesie pojawił!..“

Ogólnie utartem jest zdanie, że przyczyną słabego zwierzostanu w tym roku była długa i surowa zeszłoroczna zima, a że łagodność zimy obecnej poprawi takowy. Ja się z tem niezupełnie godzę— i te dwa wyrazy „łagodność“ i „surowość“ inaczej zestawiam. Przyczyną upadku zwierzostanu jest łagodność naszych rządów, a może wyratować jedynie wydanie bardzo surowych, odnośnych praw. I trzeba jeszcze, aby całe społeczeństwo zrozumiało, iż na to, żeby polować, trzeba być myśliwym, a być myśliwym to nie znaczy tylko dobrze strzelać, tu jest potrzebne to „coś“, ta „iskra boża“, którą z sobą człowiek na świat przynosi. Komu jej Pan Bóg nie dał, ten nie będzie nigdy myśliwym, bo tego się nigdy i nigdzie nie nauczy, ani nie nabędzie. Tu jest to samo potrzebne, co poecie—prócz umiejętności składania rymów, muzykowi—prócz umiejętności przerabiania palcami po klawiszach lub strunach. To się da więcej wyczuć, niż wypowiedzieć.

Seweryn Cichowski.

Sobótka, 11 III 1925 r.

Kilka uwag co do łowiectwa w lasach na Pomorzu.

Łowiectwo, jako jedna z gałęzi ogólno leśnych, traktowaną jest w lasach prywatnych i państwowych bodaj że po macoszemu i jeśli w niektórych lasach prywatnych łowiectwo odgrywa pewną rolę, to jedynie zawdzięczając zamiłowaniu samego właściciela, lub kierownika danego lasu. W lasach państwowych łowiectwo oddane jest całkowicie pod rozporządzenie nadleśniczego, i o ile nadleśniczy jest zamiłowanym myśliwym i hodowcą, to stan zwierzyny w takiem nadleśnictwie bezwarunkowo poprawia się i dochodzi do normy pożądanej i racjonalnej.

Rozumie się, że wobec rozmaitości lasów a tem samem i gleby, stan jakościowy i ilościowy zwierzyny nie może być wszędzie jednakowy.

Przeglądając jednak plany odstrzału zwierzyny z czasów przedwojennych i porównując je z dzisiejszymi planami odstrzału przychodzi się do przekonania, że dorobek nasz łowiecki jest nader nikły.

Prawidłowe i prawdziwe zestawienie planów odstrzału zwierzyny jest rzeczą nader poważną i nie łak łatwą!... Tu zamiłowanie z wiedzą w parze iść powinno i kierownikowi danego leśnictwa nie należy zbytnio (co się niestety często zdarza) dowierzać podawanym danym przez podwładną mu służbę leśną. Fachowa sumienna kontrola jest niezbędną, sprawdziłem bowiem w szeregu wypadków, że zwierzostan pokazywany w planach odstrzału, jako bogactwo łowieckie nadleśnictwa, nie zawsze jest prawidłowo pokazany i tam gdzie spodziewamy się znacznej ilości naprzykład zajęcy, podczas polowań wynik okazał się bardzo słaby. Dowodzi

to, że straż leśna, albo niedbale notuje dochówek łowiecki, lub też ilość zwierzyny podaje w cyfrach wziętych wprost z powietrza. To samo dzieje się z odstrzałem grubszej zwierzyny.

Odstrzał kozłów, zwłaszcza kapitalnych, należy możliwie zmniejszyć, natomiast odstrzał łań i sarn powinien być normowany staranniej, niż to dotychczas jest robione.

Dowodem nieprawidłowego odstrzału sarn jest to, że posiadamy w naszych lasach stosunkowo znaczną ilość kóz jałowych. Odstrzał takich kóz jest koniecznym, lecz może być przeprowadzany tylko pod kontrolą wytrawnego hodowcy i znawcy, natomiast powinien być wzbroniony przygodnym myśliwym na terenach majątków prywatnych i domen państwowych, gdzie każda bez wyboru koza lub łania pada pod strzałami nemrodów. Za dowód służy sprawozdanie starosty jednego z powiatów pomorskich, w którym prosi o zabronienie odstrzału kóz i łań, motywując to faktem zabicia 16-tu kóz w jednym sezonie przez właściciela, posiadającego tylko majątek ziemski rolny niewielki i bez lasu, ale zato położony tuż przy lasach państwowych.

To co powiedziałem o odstrzale kozłów powinno być zastosowane i do jeleni, jak również danieli.

Należy stanowczo zaniechać urządzania na jednym i tym samym terenie w jednym sezonie myśliwskim częstych polowań z naganką, chociażby tylko polowania te urządzane były wyłącznie na lisy lub dziki; przeciwnie należy podzielić cały obszar leśny na 2-ie równe części z tym zastrzeżeniem, że polowania odbywać się będą w danym roku tylko w jednej części, 2-ga część obszaru leśnego powinna być nieopolowaną (odpoczywać) co da możność rozmnożeniu się zwierzyny. Rozumie się, że plan odstrzału zwierzyny powinien być obliczany i zastosowany do terenu mającego być w danym roku opolowanym.

Taki podział obszarów leśnych danego Nadleśnictwa okazał się w wynikach nader dodatni co do przyrostu ilości zwierzyny wogóle, zwłaszcza zaś co do pomnożenia się ilości zajęcy.

Oprócz tego zwróciłem uwagę, że wielkość zajęcy i waga tychże jest o wiele większą od tych zajęcy, które padają w rewirach niepodlegających odpoczynkowi.

Tak ważna sprawa, jak karmienie zwierzyny podczas zimy i śnieżnych zanosów, nie zawsze i nie wszędzie się odbywa; w tym wypadku odgrywa rolę koszt karmienia i ci od których to zależy. Nieraz patrzy się na łowiectwo, jak na pewnego rodzaju przemysł dochodowy, co byłoby s usznym, gdyby zwierzostan został doprowadzony do stanu normalnego, karmiony zimą i włożony kapitał procentował w przyroście zwierzyny.

Tępienie dzików tak bezwzględnie, jak to się tu odbywa, według mego zdania jest niesłuszne: przedewszystkiem nie posiadamy ich tak wiele by groziły klęską dla rolnika, a powtóre należy się i im pewnego rodzaju ochrona i odpoczynek; mam na myśli wyłącznie prośne maciory i młode prosiaki. Każdy szanujący się myśliwy nie powinien strzelać do prośnych macior i młodych prosiaków i nakazać sobie czas ochrony dla tych zwierząt, pomimo że takiego nakazu z góry nam nie podano. Wymaga tego od nas myśliwych etyka myśliwska.

Lis, ten jedyny drapieżca, który się uchronił od kompletnej zagłady w naszych lasach i który dziś został atrakcją i upiększeniem polowania, jest skazany na wytępienie.

Nie będę dowodzić niesłuszności twierdzenia, że lis w kniei to zagłada zajęcy i innej drobnej zwierzyny, W sprawie tej zabierał głos cały szereg myśliwych — hodowców. Przyłączając się do nich staję w obronie lisa i twierdzę, że nie należy tępić lisa bezwzględnie, nie przebierając w środkach, należy tylko rozmnożenie się jego normować. Jest zaś rzeczą nieetyczną, wprost barbarzyńską, stawiać żelaza, chwytające lisa za łapę i zmuszające to biedne zwierzę w męczarni oczekiwać przyjścia pana leśniczego, który nad ranem przyjdzie i pałką bez miłosierdzia tłucze go w łeb. Łapanie w żelaza wyniszcza lisy kompletnie.

Sprawdziłem, że w nadleśnictwie X. w roku 1923 złapano w żelaza 24 lisy, obecnie podczas polowania w 1924 r. w tym nadleśnictwie nie padł ani jeden lis i nikt na polowaniu lisa nie widział. W nadleśnictwie Y. złapano w żelaza 15 lisów w 1923 roku i podczas polowania w 1924 r. nikt lisa nie widział. Powiększenia się zajęcy w obydwóch nadleśnictwach pomimo tego nie zauważono.

Jestem przekonany, że wszyscy prawie leśniczowie chwytają lisy w żelaza, tłomacząc się tem, że lisów w rewirach mają za wiele; podczas polowań jednak okazuje się, że lisów niema zupełnie i wielkim świętem jest to polowanie, na którym padnie jeden lub dwa lisy. Zdaniem moim należy zabronić personelowi leśnemu stawiania] żelaz do łapania lisów, natomiast odstrzał takowych jest wskazany przy prawidłowym wykazie posiadanych lisów w rewirze, co jest rzeczą nietrudną.

Mamy dostateczną liczbę kłusowników, uprawiających sport łapania zwierzyny w sidła, wnyki i żelaza, niech więc pod tym względem leśna brać stanie wyżej i zaniecha tego sportu wcale nielicującego z godnością leśnika polskiego.

Leon Pęski
inspektor lasów państwowych.

FATALNE TOKI.

(*Ze wspomnień przedwojennych*).

(*Dokończenie*).

Już się znajdują pod umówioną z Hryhorem dużą sosną o gęstej zwartej iglastej koronie. „Ależ ja nic nie słyszę!?“ — wyjąknął baron podczas jednej niby to pieśni, raczej przepchnięcia jego dostojnej osoby — przez dwóch leśnych spryciarzy! Jeden albowiem ciągnął go wprzód, drugi zaś pięścią pobudzał energję podskoków z tyłu. „I nie posłyszy Pan! — na to trzeba wielkiej praktyki! — On! — tu, na tej starej sośnie — w samej koronie! — trudno bardzo zobaczyć! — nu! — dalej!“.

Wschodnia strona nieba poczęła tymczasem wybitnie bieleć. Na dzień się zanosiło. Podobnie do sennego zjawiska wyłaniały się już na tle szarzyzny przedświtu szkielety dużych „suchostojów“— tragicznie rozpościerające swe zamarłe ramiona — ponad zwartą rzeszą młodych, jak rzepa zdrowych, „chwojniaków!“ Nie było czasu do stracenia, sekunda każda drogą była! Obskoczyli jeszcze parę razy dla „fasonu“ i zamydlenia oczu drzewo z rzekomym głuszcem — padając przytem parokrotnie na ziemię, niby to dla łatwiejszego zoczenia zaklętego ptaka...

„Panoczek wo! ce win! z prawej storony na „helakie“ — w poł drzewa![1])“ wołał leśnik ręką wskazując na „ad hoc“ oczywiście przygotowaną przez Hryhora kupę przymocowanego do grubej gałęzi igliwia — istotnie kształtem swem w mroku nocy nieco podobnego do głuszca.

„Tak! tak — to głuszec!“ potwierdził zamierającym szeptem nadleśny, — „niech Ekscelencja strzela!“. „Co! doprawdy?! — nie może być! — czy tylko napewno głuszec?“. „Chwili stracić nie można! podjął głowę! — już ogon zamyka! — zleci zaraz! — strzelać! strzelać!

Rzetelne uderzenie kułakiem w plecy, jako decydujący impuls! — nieszczęśliwy, na wpół już tylko przytomny od wszystkich tych emocji Zygfryd syn Wolframa—bezwiednie, odruchowo rzuca we wskazanym kierunku dwa swe pośpieszne strzały!

Omdlewający ze wzruszenia nasz bohater wyraźnie odczuwa jak ziemia poczyna literalnie z pod jego stóp się usuwać! zawrót głowy!—pot zimny!— Czarność nocy staje się jeszcze głębsza! — chwila... i łamiąc drobne gałązki — jakaś ciemna duża masa jak kamień spada... i wali się we wrzosy głębokie!

[1]) Panoczek! — to on! — z prawej strony na gałęzi — w połowie wysokości drzewa!

O radość! — O szczęście, — jest głuszec! — jest! Nie darmo całe pokolenia walecznych baronów — w tajnikach puszcz Germanji średniowiecznej — tura, niedźwiedzia, odyńca na oszczep brały! — bystronogiego jelenia konno forsując! — łabędzia, orła, czaplę strzałą przebijając! Potomek też stoi na poziomie, tych w stal lśniących pancerzy zakutych wojowników, myśliwych pełnych tężyzny. Podobnie do tych błędnych rycerzy u stóp bohdanki złoży z takim trudem zdobyte nareszcie trofeum — wachlarz głuszcowy!

Pierwszy strzał w życiu do pierwszego głuszca! — i jest głuszec! A twórcy jego „dzieła“ łowieckiego — to on! — ten skromny Nadleśny! — to On! — ten „paysanus vulgaris“ — szary chłop poleski co go „doprowadził“ — do pieśniarza wiosny! — to tamten jego drugi kolega, co go wieczorem, mistrzowsko osadził!

Odruchowe rzucenie się w objęcia rozpromienionego Igora Arkadjewicza, z pocałunkami i oślinieniem też prawdziwie rosyjskim. „Hołubczyk! — nigdy nie zapomnę! — jesteś już Pan Szefem Oddziału Departamentu! — takich ludzi nam potrzeba! A ty „mołodziec!“ — masz „katarynkę“ — przytem wydobywszy sturublówkę obdarzył nią ogłupiałego ze szczęścia poleszuka. Obydwaj jesteście awansowani na objazdowych! — No, a teraz dawaj pan stołek! — odpocznę trochę! — Mokry cały jestem! — papierosa wypalę. „Głuszca zaraz podniosą, Ekscelencjo! — O dziesięć kroków leży, ten wspaniały stary śpiewak, którego Ekscelencja tak gracko na miejscu trupem położył“. „Oj sławnyj buł śpiwak! — dodał Wasyl — liet uosiem spiwał na ciom toku! — Ja zaraz „podniesu[1])!“ „Ani mi się waż — chcę doczekać dnia! — żeby w całej piękności zobaczyć, nacieszyć się królewskim ptakiem, któregom tak pięknie „srezał“ — zrulował! — Ani drgnął! widzieliście wszyscy! — Sam osobiście, wtedy go podejmę...“

Przy tych słowach Igor Arkadjewicz poczuł, jak włosy aż dęba mu stanęły! Ładna porspektywa! Swiatło dzienne!... i siedzący w koronie sosny Hryhor! Wszystko z kretesem na wieki „kaput!“— dościgłe marzenia, snem złotym tylko! — dymem z papierosa! i nic więcej! Jakim sposobem przekonać potentata? Jak zwykle... poleszuk wyręczył.

[1]) Znakomity był gracz — z osiem lat grał ciągle na tym samym toku — ja zaraz go podejmę!

Wasyl, niby to przysłoniwszy dłonią ucho: „Hraje!“— panoczek! — drugi spiwak, jej Bohu! — piaje! — stupakow ze sto budiet — nie dalej! — Drugiego „ważmiom“! wperod! chodu!“. „No, to z powrotem idąc zabierzemy pierwszego! — jak chciałem po dniu!“ — uparł się baron, już znowu będąc pod wpływem sugestji łowieckiej! „Broń Boże — możemy nie trafić — zresztą lisów i kun dużo — marnie zaginąć nam może. — Zaraz trzeba z sobą zabrać!“, „No! — dobrze — w takim razie masz pan słuszność — lecz ja sam to uczynię! — muszę mieć tę satysfakcję!... Kilka kroków barona i... stała się rzecz straszna!!!

Nachyliwszy się, ku czerniejącej pod drzewem leżącej nieruchomo masie, jak gdyby piorunem rażony, przez żmiję ukąszony, odskoczył nasz baron. „Łajdaki! oszuści! żuliki! — to tak poważacie „naczalstwo!?“ — Won! na wszystkie cztery wiatry!“ „z wołczim biletom!“ — wszyscy! — ty kanaljo najpierwszy! — ładny Nadleśny — niema co mówić!“ „Co? — co się stało? Ekscelencjo? — nic nie rozumiem!“ „.A, nie rozumiesz — to patrz Antychryście przeklęty!... (tu cały potok rosyjskiej koloratury). — Od kiedy to głuszce w workach grają?“,

Przy tych słowach duszący się z wściekłości groźny ministerjalny Jowisz z siły całej cisnął głuszcem... (ale w worku) — w głowę skamieniałego ze zgrozy Igora Arkadjewicza.

Nieszczęsny Hryhor siedząc wygodnie w rozgałęzieniu sosny wieczór cały zasnął i... zapomniał zupełnie, że głuszec w worku! — Rozbudzony znienacka i przestraszony strzałami rzucił w tym stanie ptaka na ziemię.

Oczywiście żaden „urogallus“ w podobnej tualecie nigdy na żadnym toku widzianym nie był!...

...Sądny dzień nastąpił po tem „workowem“ wydarzeniu!

* * *

Wszystko się jednak ułożyło jak najlepiej w świecie. Baron po powrocie do Petersburga — po wybuchach radości Clo-Clo w czasie kolacji u Cubat z otrzymanego ślicznie oprawionego w brylanty wachlarza, a co zatem idzie po przyjęciu oficjalnego protektoratu barona, oraz po spożyciu wyśmienitej „langouste a l'américaine“ — obficie oblanej staremi doskonałemi winami — wpadł w stan błogosławionego rozmarzenia. „Ostatecznie przecież wachlarz jest! A to grunt! — Wszyscy ci biedacy niżsi czynownicy—jednak nie są tak głupi, jak się wydaje. Kapitalnie oszwabili nawet Ministra! Ale o tem sza — bo będzie wstyd! Wiesz co Clo-Clo? z powodu dzisiejszej tak miłej uroczystości gotów jestem popełnić dobry uczynek, darować nawet „un crime“! — popełniony przez moich podwładnych.

„Oh!—c'est gentil, mon petit Zizi chèri![1])“ — przytem, jako akord ostateczny — specyficzna pieszczota uroczej francuzicy.

W rezultacie — w restauracyjnym gabinecie „le dévoué Iwan Iwanowicz“—sekretarz osobisty—telegrafował do Zarządzającego Okręgiem Mińskim Dóbr Państwowych: „Pozostawić na tych samych stanowiskach wydalonego Nadleśnego Iżorina, leśników Niekraszewicza i Sytnicę bez zaniesienia przyczyn do ich formularzy, Dyrektor Departamentu Baron Westen-Zünden“.

„Encore une bise de ta petite femme... mon Zizi... Va![2])“.

A głuszce wiosną grały i grają nadal...

I ja tam byłem, miód wino piłem i... głuszce nie takie i nie takim sposobem biłem.

Adam hr. Rzewuski.

[1]) O! jak to miło z twej strony, mój Zizi drogi. [2]) Jeszcze całuska od twej kobietki — mój Zizi! — masz!

Myśliwsko-wędkarskich wspomnień parę.

2

Poza tańcami, piknikami i tennisem, konne wycieczki po szerokim stepie chersońskim, często z chartami, wyścigi, ghymkany, strzelanie do sztucznych gołębi czas nam zapełniały i energję w pracy podtrzymywały. Mając od dzieciństwa pasję do fuzji i wędki, rzecz naturalna, zaraz się zwąchałem z bliższymi i dalszymi myśliwymi i rybakami i w tym kierunku głównie szły moje rekreacje.

Stepowe polowania wielkiego urozmaicenia nie przedstawiały, prawie zawsze jednak bywały obfite. Znaleźć zająca na wielkich stepowych obszarach jest trudno, kuropatwy trzymają się wyłącznie w sąsiedztwie zarośli i cierni, porastających brzegi rzeczek lub „bałek“—wąwozów, które, ciągnąc się kilka, a czasem i kilkanaście wiorst, step urozmaicają i bywają często bardzo malownicze. Bardzo natomiast pospolitym ptakiem była w stepie przepiórka, której pełno bywało w lecie po

basztanach i w burzanach koło mogił-kurhanów, a jesienią w pierwszych dniach września, podczas pięknych słonecznych dni babiego lata, masami je znaleźć można było stadkami po ścierniach przed odlotem. Zwyczajną rzeczą było przynieść ich 30 sztuk po parogodzinnem polowaniu z wyżłem.

Bardzo rzadkim ptakiem po tej stronie Dniepru jest już strepiet -- stepowy cietrzew — który gnieździ się i trzyma tylko na niezoranym pługiem stepie. Widywałem je w majątku Kaszyrówka, o 50 wiorst od Krzywego Rogu, u miłego i dobrego mego znajomego starego pułkownika Boboszko, który mając słynną stadninę koni pełnej i pół krwi angielskich, trzymał dla nich 2000 dziesięcin dziewiczego stepu na pastwisko. Bywało tam co rok parę gniazd strepietów, które gospodarz bardzo pilnował i oszczędzał, jako rzadkość, i prosił, by do nich nie strzelać. Odjechawszy zato o kilkanaście, a nawet o kilka wiorst od Krzywego Rogu i kopalń, dużo spotkać można było w stepie dropi, na jesieni często stadami po kilkadziesiąt sztuk. Jestto, jak wiadomo, niesłychanie ostrożny i przez to trudny do podejścia i zabicia ptak, na którego prócz sposobów opisanych przez p. W. Korsaka w „Roku Myśliwego" polowaliśmy jeszcze jak następuje. W upalny dzień w końcu lipca, gdy część zboża jeszcze w kopach stoi, stawia się od rana zdaleka na wysokim miejscu obserwacyjnem (np. na mogile) chłopca, który nie powinien tracić z oczu stada dropi. W największy upał koło południa dropie zaczynają chować się w kopy lub nieścięte jeszcze zboże; gdy już ostatni drop, stary samiec brodacz, który wartuje nieraz przeszło godzinę jeszcze po ukryciu się stada, również się ułoży na drzemkę poobiednią, strzelcy, którzy powinni być wtedy niedaleko w pogotowiu, kierowani przez chłopca pocichu się zbliżają i zdarza się, że na kilkanaście kroków podejść dropie można i sztuk kilka naraz zostaje na placu. Jestto potężny ptak, dochodzący w pełni rozwoju do 40 funtów wagi. Znałem starego myśliwego z tamtych stron, który całe życie kulał, ponieważ zastrzelony przez niego jeszcze za młodu ponad samą głową drop, spadając, uderzył go w nogę. Gdy zimą czasami pogoda się zmienia raptownie i po padającym do północy deszczu następuje mróz, okoliczni chłopi robią prawdziwą rzeź dropi; ogromne i ciężkie ptaki z obmarźniętemi skrzydłami nie mogą po gołoledzi nabrać rozpędu do wzlotu i dają się kijami zapędzać w podwórka i do szop, gdzie giną całemi stadami. Polowania na dropie są zmudne i wiele czasu zabierające: nieraz zdarza się kilka dni stracić, by jedną sztukę upolować.

Z innej zwierzyny w stepach spotyka się czasem lis w zaroślach nadbrzeżnych, jesienią na Inhulcu zdarzą się kaczki lub nur, na stepowych stawach gęsi, a po ogrodach i laskach odlatujące słonki.

Ponieważ jednak na wodną i błotną, a także puchatą zwierzynę mieliśmy polowania bajeczne na pławniach, o których będzie w dalszym ciągu, więc na miejscu były to polowania tylko przypadkowe. Zanim przejdę jednak do pławieńskich wycieczek, przygotowania do których i wspomnienia o których prócz samego polowania dawały nam strawę sportową i zajmowały nas zawsze przez czas dłuższy, chciałbym słów parę napisać o miejscowem rybołówstwie.

Ryby łapałem głównie w Inhulcu, głębokiej o ilastem a czasem i skalistem dnie rzece o bardzo spokojnym prądzie. Były tam z drapieżnych ryb w niewielkiej ilości szczupaki i, w Polsce niespotykana przezemnie ryba, zwana po miejscowemu bielezna lub żerich — w rodzaju wydłużonego klenia — oraz dużo okoni, które doskonale chwytały się na robaka i nieraz do 3 funtów wagi miewały. Z pół drapieżnych zdarzało się sporo niewielkich, nieprzechodzących 10 funtów, sumów, które brały się na wędkę wyłącznie w nocy, lub przed świtem, a wyjątkowo, po wielkich deszczach lub wylewach, gdy wody były mętne, i w dzień. Łapały się one również przeważnie na robaki, używaliśmy jednak w tym celu zwykle tak zwanych robaków brzegowych, również w Polsce nie widywanego przezemnie gatunku; kopaliśmy je pod burtami brzegowemi, w ile, nieomal na poziomie wody, — a były one jasno różowego prawie cielistego koloru, sztywne i nieruchawe, o bardzo twardej skórze i grubsze od zwyczajnych ziemnych glist; na oko prócz zewnętrznej pierścieniowej budowy z wyraźnem odgraniczeniem jaśniejszego łba, wcale one nie przypominały ani naszych rosówek, ani zwyczajnych robaków ziemnych. Z powodu ich twardej skóry i wielkości małe rybki mało im szkody robiły i nieraz noc całą doskonale na haczyku przetrwały. Pozatem były tam kiełbie, płocie gatunku zwanego „tarań", rzadko się zdarzające, lecz dochodzące do 2 funtów wagi, w bardzo wielkich ilościach obrzydliwe na oko lecz b. smaczne byczki, jazgarze, na bystrych wodach koło młynów — klenie, a w cichych, błotnistych miejscach liny i leszcze. Głównym jednak celem połowu naszego był rozpowszechniony w Inhulcu dziki rzeczny karp, bardzo chytra, ostrożna i mocna ryba. Na karpie miejsca trzeba było umiejętnie obierać, a ponadto zawczasu starannie zanęcać, czasami przez dłuższy czas; zazwyczaj jednocześnie zanęcało się kilka miejsc naraz, przytem ostrożnie i nieznacznie, by jaki niepożądany dla wędkarza konkurent podrywkarz z miejsca pocichu nie skorzystał. Wyrażam się nieściśle, na karpie bowiem miejscami

chłopi rybacy nie używali właściwych podrywek lecz „pająków“ pokrywających ryby z góry i zrobionych na zasadzie sieci drygawic; to znaczy, iż pająk składa się z dwóch przystających do siebie siatek — dolnej gęstej i cienkiej oraz górnej rzadkiej i z grubszego sznurka plecionej. Brały się karpie na robaki, kartofle, chleb, w sezonie doskonale na młodą gotowaną kukurydzę, a większe sztuki na wyjętego z muszli świeżego rzecznego małża. Łapaliśmy karpie przeciętnie do 4 funtów wagi, zdarzały się jednakże, choć rzadko, sztuki do 10 funtów. Wszyscy koledzy rybacy dobrze pojmą ile pracy, umiejętności i czasu kosztowało wydobycie takiego smoka na brzeg, tym bardziej, iż karp rzeczny znacznie silniejszy jest i żwawszy od hodowanego, a powtóre, ponieważ używaliśmy długich nieskładanych bambusowych wędzisk ze stałemi wędkami bez kołowrotków. Zazwyczaj zapuszczało się 3—5 wędek jednocześnie, w kształcie wachlarza rozłożonych, przyczem, jako zasada było puszczanie haczyka na dno; po niedługiej obserwacji i wprawie zgóry można było określić, co za ryba bierze. Okoń ciągnął pływak równo i śmiało, kleń szybko i gwałtownie, byczka trzeba było poderwać, gdy kładł stojący pływak na wodzie, lin długo ruszał i jakby bawił się pływakiem zanim pociągnął, karp wreszcie długo i paroma nawrotami podchodził aż nakoniec poprowadził po wodzie i pociągnął w coraz szybszym tempie; przy nieuwadze zdarzało się często, iż karp porywał zupełnie wędkę całą na wodę. Po podcięciu karpia charakterystyczną rzeczą były trzy w krótkich odstępach po sobie następujące gwałtowne uderzenia na środek rzeki naprzemian z podpływaniem pod sam brzeg; kto wytrzymał umiejętnie te trzy ataki, mógł być już prawie pewnym zdobyczy, pomimo długiej jeszcze czasami, lecz coraz słabszej walki.

Nietylko wiele miłych chwil spędziłem ponad Inhulcem, żywić zawsze ponadto jeszcze będę dozgonną wdzięczność dla inhuleckich ryb. W czasie bolszewizmu, gdy o polowaniu i mowy być nie mogło, gdy huta stała i siedzieć w biurze lub w domu było nietylko bezcelowo, ale często i niebezpiecznie, zajęcie jawne i niewzbudzające niczyjego podejrzenia, jako nerwowy wypoczynek jedyne, a nawet i z kuchennych względów w tych czasach bardzo pożyteczne, wielkie mi usługi oddało. Dzień w dzień wschód słońca już mnie zastawał na rzece nie bliżej niż 4—5 wiorst od domu i huty, a rzadko przed zupełnym zmierzchem na kolację się zjawiałem. Dzięki temu w znacznej części mniej może odczułem nerwowo te dwa lata, które w Bolszewji zmuszony byłem przetrwać, niż inni moi koledzy inżynierowie, którzy w południoworosyjskim przemyśle pracowali.

J. R.

(d. c. n.)

NA POLESIU.

(Ku przestrodze dla tych, którzy tam kiegdyś po raz pierwszy pojadą).

Jeszcze zimna marzyć nie pozwalały o jakiejkolwiek wyprawie, jeszcze się nie śniło królewskim trubadurom puszczy, ani ich krewniakom, czarnym rycerzykom, o wiosennej pieśni miłości, gdy przedwstępne plany wycieczki mojej były całkowicie ukończone, a myśl dzień za dniem wybiegała do nieznanych miejscowości: półdzikich ostępów, łóz, mszarów, błot.

Miała to być moja pierwsza wycieczka myśliwska na toki wiosenne, a przy sposobności na kaczory i na słonki.

Pierwsza—choć już dwadzieścia kilka lat łowieckiej doli i niedoli przeżyłem od czasów młodzieńczych; pierwsza — bo nie składały się dotąd nigdy odpowiednie okoliczności, choć nie brak było zapału i serdecznych pragnień.

Tegoroczna wiosna probowała swoich sił parokrotnie i obumierała pod naciskiem tęgich przymrozków, w podmuchach zimnych wiatrów, a wreszcie kilkodniowego śniegu. Lecz to była jej ostatnia chwila letargu. Śnieg stajał, słońce zaczęło dogrzewać silniej i oto w dzień „prima-aprilisa“ otrzymałem od p. T. depeszę, że czeka na stacji Janów (pod Pińskiem).

Dwa dni zeszły na nerwowem oczekiwaniu i przygotowaniach, aż zaopatrzony w urlop sześciodniowy, nocnym pociągiem czwartego wyruszyłem w podróż. Lecz, jak krótki to okres czasu, aby wszystkie plany doprowadzić do skutku, przekonałem się dopiero na miejscu. a wszędzie stały na zawadzie wielkie odległości, złe komunikacje i nieprzewidziane okoliczności, choć pogoda dopisywała znakomicie.

A przytem pech nie odstępował mnie ani na

chwilę, toteż i wyniki ostateczne moich trudów i zabiegów były nader mizerne w stosunku do wielkiej obfitości zwierzyny, jaką tam na własne oczy oglądałem.

Przedewszystkiem towarzystwo, dążące na toki cietrzewie z lubelskiego, z którem miałem się spotkać rankiem w Brześciu, nie dopisało, a ponieważ gospodarz nie oczekiwał nas we własnej osobie na stacji szerokotorowej, za poradą więc jego wysłannika przesiedziałem cały dzień w Janowie, oczekując na pociąg wieczorny, którym, wbrew moim przekonaniom, mogli jeszcze nadjechać spóźnieni myśliwi. W ten sposób zmarnowałem pierwszy ranek toków, gdyż nie doczekawszy się towarzyszy, odjechałem sam do odległej o 40 klm. leśniczówki o godz. 9-ej wiecz., a ponieważ podróż odbywałem drezyną, musiałem trzy godziny nocy stracić w połowie drogi na oczekiwanie przejścia z przeciwnej strony mającej nadejść, w czasie nieokreślonym dokładnie, drezyny motorowej z „władzami". W tych okolicznościach dotarłem na miejsce o godz. 4-ej rano mocno zziębnięty i strudzony. Tylko dzięki wielkiej energji i uprzejmości pani domu, którą samą tylko zastałem, ogrzany herbatą, doszedłem w jej towarzystwie na godz, 6-ą na miejsce toków, gdzie zdaleka ujrzałem trzy budki i wreszcie doczekałem się z jednej z nich celnego strzału p. T. do widocznego mi koguta na równej jak stół łące. Był to jeden z sześciu, które w dniu tym, po opadnięciu mgły i w wietrzny ranek przyleciały na tokowisko, lecz nawet nie odzywały się prawie wcale, potem je dopiero słychać było do 9-ej wokoło.

Ponieważ nie miałem zamiaru gruntownie wypoczywać, przeto po powrocie do domu i znakomitym posiłku, po krótkim parogodzinnym śnie, wędrowałem już na błoto do budek na kaczory. Lecz tam nikomu szczęście nie dopisało. Powrót (wszystko piechotą) na 9-ą. Znów solidny posiłek, potem rozmowa do późna i o 1-ej wyjazd na inne tokowisko w noc zimną, lecz cichą i pogodną.

Tym razem od wózka należało przejść zaledwie z pięćset kroków zato wśród łóz i po zmarzniętym bagnie, które łamało się pod nogami, acz w mokrych butach, lecz na suchem sianie zasiedliśmy w budkach na bardzo obszernej łące. Dwóch z nas miało oprócz śrutówek automatyczne sztucerki Browning'a, które umyślnie przywiozłem z sobą, informowany przez gospodarza listownie, że ten sposób strzelania może jedynie przynieść pożądane rezultaty wobec wielkiej obfitości cietrzewi w całej okolicy, a niezbyt rozgorzałych wskutek zimna toków. Potwierdzenie tego usłyszałem mimochodem w wagonie, w którym jechało kilku miejscowych myśliwych, a z których jeden opowiadał „warszawiakowi" fakt zabicia jednego z ubiegłych ranków jedenastu cietrzewi dzięki cichym strzałom i niepłoszeniu grających kogutów.

Dopiero osobiście miałem się przekonać ile w tych twierdzeniach było supozycji z jednej, a blagi być może z drugiej strony. W budce siedziałem długo, aż rozwidniło się zupełnie i dopiero wówczas ujrzałem zasiadającego pierwszego koguta na strzał od budki mego najdalszego sąsiada. Dobrą chwilę tam baraszkował, gdy nadleciał drugi, sadowiąc się bliżej drugiej, sąsiedniej budki, a w ślad już za nim nadciągnęły z poprzedniej choiny i łóz cietrzewie w ilości dziesięciu i usadowiły się półkolem nawprost moich „strzelnic". Po dobrej chwili, kiedy koguty rozgrzały się nieco namiętnością rywalizacji, uplasowałem muszkę sztucerka na pierwszym na lewo i pociągnąłem za cyngiel. Skutek był piorunujący... Wszystkie cietrzewie odleciały do tej samej choinki i tam już pozostały, bełkocząc, skacząc, łopocąc skrzydłami, czubiąc się zawzięcie. Ranek był śliczny i wspaniałe to były, miłe sercu odgłosy, których bezczynnie słuchałem z głębokiem zadowoleniem do 6½ rano. Z innych stron nadlatywały jeszcze koguty i sadowiły się na brzózkach lub choinkach o sto kilkadziesiąt kroków za mojemi plecami, wreszcie i cieciorki były w ten sam sposób widoczne, ale żaden ptak nie zasiadł na tokowisku, które na ten raz było moim strzałem zepsute. Notabene budki były całkiem świeże, dopiero tegoż przedświtu stawiane, co musiało odnieść wpływ niepożądany.

Na dobitek złego strzelany przezemnie kogut odleciał zdrów i cały. Nie rozumiałem przyczyny, dopiero po powrocie z lasu i po dokładnem obejrzeniu i wypróbowaniu sztucerka zauważyłem, że strzały nawet na bliską metę górują o 2 do 3 cali z powodu odgięcia się wizjera w górę.

Nawiasem muszę powiedzieć, że, jakkolwiek automatyczne sztucerki Browning'a są bardzo precezyjne i ostro bijące, to posiadają tę zasadniczą wadę konstrukcji wizjera, składającego się z długiej sprężynki, leżąco osadzonej na lufie, której poziom jest regulowany za pomocą śrubki nie przytwierdzonej na moc do lufy, że wskutek tego, jak się okazuje, wizjer ulega przy przewożeniu bez futerała odgięciom, czyniącym cały sztucerek narazie niezdatnym do użytku.

Ze smutno zwieszoną głową, niewyspani i zmęczeni, trochę zziębnięci wracaliśmy do leśniczówki, skąd o 8½ rano miałem odjechać na drezynie do Janowa, aby zdążyć na południowy pociąg w stronę Łunińca i następnego ranka sprobować szczęścia na głuszca.

Żegnając gościnny dom p. T. z żalem, pełen jednak nadziei lepszego powodzenia, wyruszyłem

w drogę, lecz znów pech, prześladujący mnie od początku, zmusił do zmarnowania blisko 2½ godzin czasu w środku drogi dla przeczekania przeklętej motorówki. Na skutek tego spóźniłem się na pociąg i musiałem czekać do wieczornego, aby dojechać do Łunińca na 10-tą, poprzestając tego wieczora na miłej pogawędce z gospodarzem, p. N. i na gruntowniejszym wypoczynku nocą. Pan N., skomunikowawszy się ze mną przez telefon podczas mego przymusowego oczekiwania w Janowie, odłożyć musiał termin polowania na głuszce do następnego ranka, gdyż zdążenie na czas do odległego o kilknaście kilometrów tokowiska byłoby po mojem przybyciu niepodobieństwem.

* * *

Wyspawszy się i wywczasowawszy całą dobę, o godz. 8-ej wieczorem następnego dnia—straciwszy w ten sposób znowu jeden ranek — udaliśmy się z p. N. końmi do łowisk ks. F. D.-L. Przed wyjazdem do lasu spędziliśmy czas na miłej pogawędce z gospodarstwem i przy kolacji, o dziesiątej wyruszając w dalszą drogę we trzech. Zasadzanie głuszców odbywało się bez nas przez miejscowych gajowych, którzy po naszym przyjeździe do lasu zdawali księciu szczegółowe relacje. Po rozplanowaniu łowów przez niego gwarzyliśmy do chwili wyruszenia przed świtem od ogniska, od czasu do czasu popijając gorącą herbatę, tak pożądaną wśród mroźnej nocy oczekiwania.

Nareszcie na dany sygnał rozeszliśmy się w różne strony bardzo obszernego tokowiska. Mnie prowadził młodszy z gajowych, Adam, pana N. stary, typowy poleszuk, Bonas, wreszcie książe udał się sam na podchodzenie. Niestety, nie opuszczała mnie prawie ani chwili trema, której najrozmaitsze objawy wyczuwałem już od poprzedniego południa. Pierwszy podchód głuszca na toku to nie byle co i w żaden sposób nie mogłem się do takiego szczęścia przyzwyczaić, a najgorsze było to, że, nie znając rzeczy, poprostu szpikowałem myśl obawami przed jakąkolwiek mimowolną niezręcznością własną, którąby mi łowy popsuła.

Adam okazał się świetnym przewodnikiem. Rzecz prosta posłyszał pieśń głuszca pierwej odemnie i jakkolwiek w pewnym momencie na długo przystanął i jeszcze raz zatrzymywał się potem kilka minut, lecz chodziło mu o dobry wybór tokowiska, z pośród dosłyszalnych trzech w różnych kierunkach, co się znakomicie udało, gdyż od połowy naszej drogi wybrany kogut wysyłał pieśń za pieśnią. Drżąc z zimna, a pewno więcej jeszcze z tremy, poruszałem się mechanicznie w rytm pochodu Adama. Widać robiłem to instynktownie dobrze, a kiedy już objąłem zmysłami całą pieśń głuszcową i zespoliłem z nią odpowiednio moje ruchy i zachowanie, Adam wskazał mi ręką przed siebie drogę dalszą i porzucił mnie, pozostając na miejscu.

I tu zaczyna się moja „tragedja". Opuszczony przez przewodnika, jakkolwiek zdawałem sobie doskonale już sprawę z technicznej strony łowów, poczułem się moralnie tak osamotniony, że trema z większą jeszcze siłą opanowała wszystkie moje zmysły i to do tego stopnia, że przestałem logicznie wnioskować i dałem się ponosić całkowicie czarowi pieśni, poezji, otoczenia, a także myśli jedynej, że to szczęście zbyt wielkie i że głuszca nie dostanę jako „fryc" napewno.

Spełniło się. Czar pieśni i urok chwili zatrzymał mnie w pewnym momencie tak dosłownie na miejscu, że nie byłbym w stanie zrobić ani kroku więcej, nogi bowiem w lędźwiach i goleniach dygotały podemną jak galareta, ręce były jak z lodu, i trzymana strzelba, zbyt mocno zaciskana, parzyła poprostu palce... Bo oto ujrzałem nagle, po ostatnim podskoku, głuszca w pełnym profilu na tle nieba na łuku brzegowym gołaźni, na którą właśnie wkroczyłem, na niskiej, 3-metrowej zaledwie sosence, na samym jej czubku. Nie widział mnie, gdyż zaraz pieśni potoczyły się dalej, a on sam począł obracać się na obranem miejscu tak, że naraz roztoczył przed memi oczyma wachlarz w całej okazałości widziany od tyłu i znów grał dalej. Ruszyć z miejsca w takt pieśni nie byłem już w stanie, natomiast, nie zdając sobie z tego sprawy, podniosłem bez zachowania nadal ostrożności broń do ramienia i dygocącemi rękami dałem strzał.

Głuszec odleciał spudłowany na czysto, a chociaż mogłem strzelić doń powtórnie po zerwaniu z sosny, zanim wziął rozpęd właściwy, nie uczyniłem tego, zapomniawszy całkowicie o strzelbie i o ostatecznym celu łowów.

Podszedł do mnie Adam, oglądał sosnę, na której głuszec tokował. mierzył kroki (było 47) cmokał ustami z niezadowolenia, kręcił głową i wreszcie rzekł:

— No, ja nie winien — treba było jego bliże podojti—a można było—i dobre szli—ty, czort!

Nie dał mi jednak zaraz odejść z tokowiska. Stanęliśmy ukryci wśród sosenek na suchych mchach w coraz bardziej jaśniejącym świcie. Nadleciał „krektun", zasiadł blisko, bo już i głuszyce rozkwoktały się na dobre, długo się rozglądał, wreszcie, widać jakimś naszym ruchem spłoszony, odleciał. Słyszałem niezbyt daleko strzały p. N. i księcia, oba podwójne — a więc nie zbyt szczęśliwe — po których zjawił się jeszcze o 100 kroków odemnie tokowik i zaczął kłapać. Długo to trwało, lecz pieśń tylko jedną zagrał, a nasłuchiwał i oglądał

się ciągle na wszystkie strony. Podszedłem go bez pieśni na 55 kroków, na samą granicę gołaźni i, zachęcany mocno przez Adama, znów sprobowałem szczęścia (poleszuk twierdził, że to ten sam tokowik, do którego strzelałem, w co jednak trudno mi uwierzyć). Tego koguta najwyraźniej postrzeliłem i choć ciągnął po strzale po gołem, nie zdobyłem się i tym razem na drugi strzał. A kogut przerywał lot, zasiadał parę razy co sto kroków, aż wreszcie straciliśmy go z oczu. Byłem jak zahypnotyzowany. Głuszyce ciągle się kręciły po tokowisku, przelatując z miejsca na miejsce. Jeszcze słyszałem jednego koguta, grającego w pobliżu o jakie 150—200 kroków, lecz zbyt było już, jasno, aby go podchodzić, choć grał poprostu uporczywie. Adam musiał szukać mego koguta — czy go znalazł — nie mam dotąd wiadomości.

Książę i p. N. zabili każdy po jednym głuszcu. Ten ostatni tak blisko mnie, że widziałem koguta spadającego z wysokiej sosny o jakie 250 kroków zdala.

Myślę, że refleksji moich i nastroju duchowego wskutek podrażnioncj ambicji myśliwego nie potrzebuję tu opisywać, gdyż każdy ten stan wewnętrzny doznanego zawodu zrozumie. Mimo to jednak był to najcudniejszy poranek, jaki w karjerze mej łowieckiej przeżyłem. a za ogrom wrażeń i przeżytą ucztę poezji myśliwskiej jestem księciu L. głęboko wdzięczny i na tem miejscu specjalne Mu składam podziękowanie z całego serca płynące.

Ach te pyszne Jego Łowiska łunińskie! Około 70 kogutów posiada w tym roku: przeszło czterdzieści tokowików. Odstrzał ustanowiony ogółem na 12—14 sztuk. Tego ranka zdaje się padł piąty i szósty.

Jeżeli kiedyś zawiodą mnie losy w te same strony, myślę, a twierdzi to i Adam, że głuszca już nie spudłuję. Ale — kto wie... Może zdecyduję się zresztą zażyć bromu na godzinę przed odejściem od ogniska.

Wracaliśmy wolno w cudny poranek pełen słońca i rozgwaru leśnego, rozmawiając o przeżytych wrażeniach. Po drodze wstąpiliśmy do gościnnego dworu na śniadanie, które z całą żarłocznością zostało przez nas pochłonięte i natychmiast wróciliśmy do Łuninca, skąd tegoż popołudnia mieliśmy odjechać na Prypeć, aby sprobować szczęścia z „krekuchami" następnego ranka.

* * *

O godz, 2-ej z południa zostałem zbudzony w mieszkaniu p. N. przez woźnego, który mi oświadczył, abym się zaraz zbierał, gdyż wyjeżdżamy za godzinę. Nastąpiła jednak zmiana planów. Jechaliśmy do st. Luszcza. skąd kilkanaście kilometrów kolejką na wieczorny ciąg słonek, a w nocy mieliśmy udać się na cietrzewie i głuszce, których zasadzonych okazało się na miejscu 2 i jeden wątpliwy. Wobec takiego stanu rzeczy, ponieważ nadto nie kładłem nacisku na oddanie mi pierwszeństwa w podchodzeniu do głuszca, dwóch nowych towarzyszów naszych miało się udać na ten jedyny w swoim rodzaju pochód, ja zaś z p. N. zdecydowaliśmy się iść 6 kilom. błotami i „ostrowami" łóz i lasów lub zagajników do przygotowanych budek na cietrzewie.

Ciąg słonek udał się znakomicie — był to pierwszy bardzo ciepły wieczór. Nad stanowiskiem p. N. przeciągnęło około 12 sztuk, nad stanowiskami dwóch innych myśliwych drugie tyle — mnie jedynie prześladował pech w dalszym ciągu: nie usłyszałem nawet jednego chrapnięcia. Zabito 2 słonki, co było wynikiem fatalnie świadczącym o zręczności myśliwych, tem więcej że ciąg rozpoczął się jeszcze przed zmrokiem i strzały nie były zbyt dalekie.

Po wieczornym posiłku wyruszyliśmy z p. N. o godz. 12-ej w drogę, towarzysze nasi mieli do tokowiska głuszców bliżej, wyjść mieli o godzinę później.

Kto nie chodził własną nogą temi błotnemi szlakami, kto nie skakał z kępy na kępę w blasku księżyca i komu nieznane są odgłosy poleskiej nocy pośród odludzia błotnego, wertepów i zwałów drzew, wykrotów i łomu — kto wreszcie nie suszył butów w mroźne przedświty przy naprędce rozniecοnym ognisku, a rankiem po ukończonych łowach nie sięgał ręką po chleb razowy z borsuczej torby gajowego-poleszuka, odpłacając mu za to haustem z własnej manierki — ten niechąj to koniecznie uczyni, aby czuć się ostatecznie pasowanym na myśliwego.—Byłem tym trudem, odrębnym od wszelkiego innego zmęczenia, tym wysiłkiem fizycznym, tą potrzebą ciągłego utrzymywania równowagi i napięcia uwagi — poprostu oczarowany. Fizyczny trud stał się rozkoszą duchową w połączeniu z tą rozmową, jaką puszcza poleska do myśliwego gada. Nie śmiejcie się, grubi i wygodni, snobi i nowicjusze: Czar puszczy i przebywanie jej w mozole i czoła pocie jest olbrzymi i wynagradza wszystko, a nawet niepowodzenia nie wydają się we wspomnieniach tak straszne. Stokroć gorzej moralnie czuje się myśliwy, który nie miał „anlaufu" na nagankach zajęczych, a dobrze najedzony i napojony jeździł wygodną bryką ze stanowiska na stanowisko, niż ten, który przez cztery noce i ranki ociekał potem lub marzł naprzemian i upadał z trudów w poleskiej puszczy, a widząc na własne oczy kilka głuszców, kilkanaście sztuk innej zwierzyny, wraca ze skromnemi dwoma „tietierukami" do odległych o paręset kilometrów domowych pieleszy i zajęć.

W budkach poszczęściło się nam obu nienajgorzej, zabiliśmy właśnie po dwa koguty. Potem droga powrotna nierównie mniej mozolna w dzień i już znana, lecz zato o wiele przykrzejsza ze względu na koniec łowów, na ostateczne pożegnanie z poleską naturą. Obiad — odjazd do Łunińca — pożegnanie z p. N. i odjazd zupełny — na zachód — do trudów codziennych i pracy — lecz z duchem stężałym, skąpanym w rosie chłodnego poranka i w blaskach złotego, życiodajnego słońca wiosny, a przepojonym dźwiękami niezapomnianych pieśni królewskich trubadurów...

Do widzenia ci, smętna zamyśleniem i żywa tętnem wiosny, potężna puszczy poleska! Da Bóg, zobaczę cię znów piękną i uśmiechniętą czarem poezji niezgłębionej, a jednak dostępnej dla duszy skromnego sługi św. Huberta.

Władysław Zabiełło.

Mińsk Mazowiecki, 13 kwietnia 1925 r.

Wspomnienia żołnierza myśliwego.

4

POLOWANIE NA STRUSIE.

Do uroczych obrazów dzikich stron afrykańskich zaliczyć muszę widok tabuna strusi, majestatycznie pasących się na bezbrzeżnych prerjach. Niestety jednak nie mogłem nigdy przyjrzeć się dokładnie życiu tych olbrzymich ptaków. Główną bronią tego ptaka jest wzrok, o którym tu mówią, że jest w trójnasób ostrzejszym od orlego. O tej strusiej zalecie wzroku wiedzą zebry i antylopy, trzymające się zawsze w ich bliskości w przekonaniu, iż ich wzrok zabezpiecza je od wszelkiego niebezpieczeństwa i napadów nieprzyjaciół. Utarte tak między nami przysłowie o głupocie strusia, chowającego w niebezpieczeństwie głowę tylko, jest tak niesłuszne, jak i fama o jego żarłoczności i żołądku, w którym znajdowano kamienie. Zaprzyjaźnione plemiona niekiedy obdarzały nas strusiemi jajami, z czego robiliśmy jajecznicę, wystarczającą z jednego jaja na utulenie głodu 5—6 osobom. Oryginalne są ich gniazda. Samiec wygrzebuje głęboką jamę w piasku, otacza ją podwójnym wałem wysokim, zabezpieczającym gniazdo od zalewu wody, a 5 do 6 jego samic-towarzyszek składają w nie 18—25 jaj. Prócz złożonych w gnieździe ilości, kilka jaj (5—6) składa się poza gniazdem, w obrębie wałów, i te służą na pożywienie pisklętom w pierwszych dniach ich istnienia. Młode pozostają b. długo w gnieździe i do półroku są bardzo niedołężnemi stworzeniami. Matka wysiaduje na gnieździe przez dzień, ojciec zastępuje ją w tej czynności w nocy, zabezpieczając swą siłą i odwagą gniazdo od napadów nocnych rabusiów. Nie jeden szakal przypłacił życiem swą ciekawość zajrzenia do gniazda strusiego — jedno cięcie dzioba mocnego ptaka rozbija czerep napastnika — kopnięcie nogą przetrąca grzbiet hyenie lub lampartowi.

Samica schodząc z gniazda, zagrzebuje je piaskiem, zachowując przez to potrzebny w niem cieplik, samiec zauważywszy poruszenie jaj przez kogoś, lub zmianę w ich układzie, niszczy całe gniazdo i rozdeptuje jaja ze straszną wściekłością. Niszczenie gniazd przez tuziemców jest jednym z głównych powodów zaniku tych wspaniałych, olbrzymich ptaków.

Oddawna nosiłem się z myślą zdobycia własnoręcznie kilku piór strusich dla mej lubej i wreszcie nadeszła ta upragniona dla mnie chwila; zaprzyjaźnieni Buszmanowie urządzają dziś na mą cześć łowy. Na dalekich wydmach piaszczystego przestworza, po kilkugodzinnem włóczeniu się pod palącemi promieniami słońca, ujrzałem 7 sztuk tych wielkich ptaków, odbijających się tak wyraźnie swymi czarnemi kształtami na jasnem tle piasków złocistych. Widok ten przejął mnie dreszczem radosnym, oczy zaszły łzami zadowolenia, a ciałem wstrząsnęła kilkakrotnie myśliwska gorączka, musiałem jednak poddać się rozkazom Buszmańskim. W godzinę ptaki były okrążone przez olbrzymie koło, coraz szczelniej się zaciskające. Ptaki spostrzegłszy że są zewsząd otoczone w szalonym pędzie rzucały się w różne strony, lecz natrafiając wszędzie na ścianę ruchomą naganiaczy, odbijały się o nią i powracały ku środkowi. Teraz czas nadszedł natarcia na nie i sforsowania tych biegunów bezskrzydłych. Nie łatwem jednak było to zadanie, ptakom bowiem w ich biegu nie dorównywały nasze szybkie konie.

Zdawało się, że nie biegną, a płyną na swych rozstawionych, bezpiórych skrzydłach, nawet wzrok nie mógł śledzić za ich nagłemi zwrotami i błyskawicznemi ruchami długich nóg. Konie nasze po godzinnej gonitwie zaczęły się rozpierać i słabnąć, a ptaki jakby coraz większej jeszcze nabierały siły

i szybkości w biegu. Rozbite na partje ścigaliśmy je w pojedynkę i gdy już straciłem nadzieję dopędzenia któregokolwiek ptaka, dwie sztuki gonione przez B. nadbiegły mi na strzał. Dałem ognia do nich i jedna uderzyła piersią o ziemię, podniosła się, zrobiła jeszcze kilka kroków i padła. B., udało się upolować drugą, na czem skończyliśmy nasze strusie polowanie.

Na wesołe oznaki tryumfu uczestników łowów, niestety, nie mogłem odpowiedzieć również wesołem hura, obie sztuki były młodymi, bezpiórymi strusiami i ma złotowłosa w Opolu musiała się obyć bez pięknej ozdoby. W wielu osadach tuziemczych widziałem chowane strusie, lecz nigdy nie mogą one mieć tak pięknego opierzenia. jak ptaki na swobodzie je posiadają. Najcenniejsze są pióra zabijanych „kirris'ami" (maczugami), ptakow przez czarnych, struś strzelany krwawi mocno i plami pióra, które tracą na pięknym wyglądzie, puszystości i kolorze. Mięso strusie jest niesmaczne

(D. c. n.). *Wł. Czerniejewski.*

Polowanie na tokach cietrzewich w Przędzelu.

powiat Nisko (Małopolska)

Dzięki uprzejmemu zaproszeniu z dóbr Przędzelskich p. Dra Adama Lardemera, członka wydziału towarzystwa łowieckiego Województwa krakowskiego, miałem sposobność oglądać tego roku najwspanialsze z toków cietrzewich, jakie wogóle w życiu widziałem. Okolica ta leśna, stanowiąca część dawnej puszczy sandomierskiej we widłach Sanu i Wisły, znana z Sienkiewiczowskiej Trylogji i pogoni Imci Pana Rocha Kowalskiego za uciekającym z Rudnika Królem szwedzkim, jest jakby stworzona na to, aby być matecznikiem zwierzyny. Nieprzebrane puszcze leśne, poprzerzynane dużemi łąkami leśnemi, moczarami i niedostępnemi uroczyskami, dają schronienie przedewszystkiem całej plejadzie skrzydlatej rzeszy; wśród niej cietrzew jest tym wodzirejem, którego potężny i pełny tajemnej grozy syk budzi naturę na długo przed wschodem słońca, a jednostajny taneczny śpiew akompaniuje tysiącom pierzastych solistów, które witają pieśnią przepojony słońcem ranek wiosenny.

Po kilkugodzinnej podróży koleją i krótkiej jeździe bryczką docieramy o godzinie 12-ej w nocy wraz z gościnnym moim gospodarzem do leśnictwa w Przędzelu. Tutaj krótki posiłek i odpoczynek i wymarsz o godz. 3-ej do przygotowanych na tokowisku budek. Zaledwie zajęliśmy je, kiedy ze wszystkich stron zaczyna się równocześnie prawdziwy sabat cietrzewi: więc najpierw świst skrzydeł zlatujących na toki kogutów, następnie przejmujące syki z niezliczonych gardzieli zwołujących się weselników i łopot skrzydeł, w końcu jakby na komendę zaczyna grać cała ich orkiestra. Wszystko to dzieje się wśród zupełnej jeszcze nocy tak, że dopiero po długiej chwili szary świt pozwala mi rozróżnić niewyraźne kontury tokujących obok mojej budki cietrzewiej. A jest ich sporo—doliczam około 20 sztuk; takaż sama ilość tokuje przy sąsiedniej budce. Za chwilę pada pierwszy strzał — to gospodarz strzela pierwszego koguta. Po strzale chwila ciszy, kilka kogutów przelatuje nad naszemi budkami, potem syk i koguty moje zaczynają grać na nowo. Kolej na mnie, strzelam pięknego starego koguta, poczem całe towarzystwo weselne opuszcza tokowisko. Jednak nie na długo. Za kwadrans zlatuje na łąki znowu kilkanaście kogutów i tok rozpoczyna się nanowo. Gospodarz strzela znowu trzykrotnie w kilkuminutowych odstępach, czem niezrażone moje koguty grają dalej w najlepsze. Strzelam znowu i powtarza się znowu to samo; koguty odlatują, aby za chwilę wrócić i tokować.

Zapatrzeni w to bujne weselisko, w buńczuczne zaloty kogutów do pojawiających się tu i owdzie na łące szarych przepięknych cieciorek, siedzimy w budkach naszych do godz. 7-ej rano, a kiedy je opuszczamy, spędzamy jeszcze dziesiątki tokujących przeważnie już na drzewach kogutów. Rezultat tego ranka: cztery wspaniałe koguty. Następnego ranka deszcz popsuł nam toki. Dr. Lardemer wracać musi do Krakowa — ja zostaję jeszcze na jeden ranek i jakkolwiek burza pozwoliła mi tego dnia dopiero około godz. 6-ej udać się do budki, ubiłem jeszcze trzy koguty. Z żalem żegnałem Przędzel, dziękując za piękne łowy pełnomocnikowi właściciela pułkownikowi Łobaczewskiemu, którego dzielna opieka nad zwierzyną stworzyła najpiękniejsze może w Małopolsce tokowisko cietrzewi.

Józef Stiller.
em. Gen. Dyw.

Kraków, w kwietniu 1925 r.